

BIŁY OBRÓDZIŁ KASIA

**BEZ
DEBITU
KWARTALNIK
NIEREGULARNY
BIŁYSTOK**

nr 3

Zapiski bez przeznaczenia

Tuż przed przybyciem papieża znajduję w "Tygodniku Mazowsze" oświadczenie zwracające uwagę ilością, a może jeszcze bardziej jakością podpisów. Praktycznie wszystkie elity społeczeństwa: opozycyjne, kulturalne, naukowe są tam reprezentowane przez swych wybitnych przedstawicieli. To znakomite grono postanowiło przedstawić papieżowi obraz polskiego społeczeństwa drugiej połowy lat osiemdziesiątych.

Ale, co niektórych pewnie bardzo zdziwi, tekst "oświadczenia" /tytuł jest sygnatariuszy/ nie przynosi spisu cierpień i litanii męczenników Polaków od stanu wojennego do chwili obecnej, nie jest również rachunkiem krzywd i niewygód, jakie przyszło nam obecnie znosić i pewnie przyjdzie jeszcze przez długie lata. Autorzy wybrali dla swego zadania szczególną, formułę "listy praw kardynalnych" narodu polskiego. Co to właściwie oznacza?

Po pierwsze, jest to formuła obywatelska. Przedstawia bowiem tak podstawowe prawa narodu, że niezależnie od poglądów politycznych musi je uznawać każdy, kto chce świadomie uczestniczyć w życiu kraju. Innymi słowy, każdy obywatel, wyjąwszy tzw. "obywateli z urzędu".

Po drugie, jest to formuła z gruntu konstruktywna. Przez wskazanie celów stwarza impuls do budowania, odświeżania pola koniecznie do zawiąszczenia - mimo trudności i ofiar jakie trzeba nieraz ponieść.

Po trzecie, jest to formuła ofensywna. Kaze myśleć o pracy, o zdobywaniu przede wszystkim. Uświadamia bowiem granice, poza które cofnąć się już nie można, a poza którymi wciąż się przecież znajdujemy!

Jakie są zatem owe "prawa kardynalne" Polaków? Jako pierwsze autorzy wymieniają prawo do niepodległości, rozumiane przez "swobodę co najmniej w zakresie urzędów wewnętrznych". Po nim następuje prawo do życia w demokracji, wolności, prawdzie, postanowieniu prawa. I wreszcie jako trzecie: prawo do samodzielnego kształtowanego ładu gospodarczego. Zasada walki o te prawa jest wyrzeczenie się przemocy.

Polskie społeczeństwo obywatelskie wita papieża prezentacją swych aspiracji, listem, który można by nazwać "Kartą Społeczeństwa Obywatelskiego". Jest to chyba najlepsza odpowiedź na wezwanie Jana Pawła II o "odnowienie oblicza tej ziemi". Duch Święty działa wszak przez ludzi.

Każdy region jedzie do Gdańska. Przed nami Msza na Zaspie. Ojciec Święty spotka się tam ze światem pracy.

I z czym się udajemy? Co niesiemy w darze? Jakie dzieci naszych rąk i nóg świadczą za nami?

Łza, niepewność, niepokój. A więc śpiewamy, modlimy się - to przecież pielgrzymka, choć w autobusie.

Jawie są nasze pieśni?... Martyrologia, martyrologia, bez końca martyrologia. Pan Bóg i zgwałcona dziewica - ojczyzna. Wciąż do świadomości rzuconej duszy polskiej nie może skutecznie przebić się prawda, że heroizm oncy leży w gotowości poniesienia najwyższych

ofiar dla jej obrony, zaś płacziwe obnoszenie skrwawionej sukienki jest po prostu niesmaczne i zaosne. Zdziwiająco zanikowanie do zbiorowego wykonawstwa tego typu twórczości jest co najmniej zastanawiające. Czyżby miało to być formą "katharsis" wewnątrznie zważanych?

To nie takie proste. Bo równocześnie śpiewa się "Jeszcze nie zginęła...". Oto nasza kultura potoczna: patriotyzm wyraża albo na pograniczu nekrofilii, albo na progu nieśmiertelności. Mity, mity - a między nimi co? Zwątpienie i lęk. Więc kończymy śpiewać, niepościeszni.

Związki robotników z Kościołem sięgają w Polsce właściwie samych początków ruchu robotniczego. O ile w świecie myśli przebiegały dość klarownie, na tyle przynajmniej, że dziś możemy mówić z oczywistością o chrześcijańskich inspiracjach polskiego socjalizmu - o tyle na poziomie praktyki społecznej często dochodziło do znacznych nawet konfliktów. Radykalizm haseł rewolucyjnych był dla hierarchii kościelnej trudny do pogodzenia z ewangelicznym wymogiem ładu opartego na miłości. Spór między lewicą a Kościołem faworyzującym dość wyraźnie endecję, to zresztą sprawa dobrze znana; przynależny dziś już tylko do historii tamtego czasu i tamtych problemów.

Do dziś natomiast żywe są ślady jakie chrześcijaństwo i katolicka tradycja odcisnęły w mentalności Polaków. Historycy kultury robotniczej nadmienią, iż w okresie rewolucji - powstania 1905-1907 częste były przypadki zamawiania u proboszczów dziękczynnych Mszy św. np. za udany strajk, a podczas manifestacji pieśni nabożne śpiewano obok pieśni robotniczych. Popularna była również symbolika pasywna dla oddania męczeństwa działaczy robotniczych. Można chyba przyjąć, że świadczy to nie tylko o wpływach wychowania w kręgu tradycji katolickich, ale i wiązania w świadomości potocznej ideałów demokracji, sprawiedliwości i wolności z przesłaniem ewangelicznym. Być to najbardziej naturalnym powodem podjęcia przez Kościół akcji duszpasterskiej w środowisku robotniczym.

Wydaje się, że teraz jest inaczej. Po 13 grudnia, po wprowadzeniu z oficjalnego życia państwa "Solidarności" powstała sprzeczność, w której rozbudzone środowiska robotnicze zostały bezpłucnie w podziemiu. Nie była to z pewnością propozycja dla wszystkich. Szczęśliwą alternatywę dał ruchowi solidarnościowemu rozwój duszpasterstw ludzi pracy.

Dlatego ciąży nad świadomością uczestników duszpasterstw niejasne przecucie, że są one tylko etykietą zastępczą Związku, sztyłem i parasolem, pod którym można nieco zakatwić dla nielegalnej "Solidarności", prawdziwej, bezkompromisowej kontynuatorki Sierpnia. Nie można jeszcze o ruchu duszpasterstw powiedzieć, że jest on katolickim ruchem robotniczym, trzeba natomiast mieć na uwadze, że jest on takimiego ruchu zaczątkiem. Ale z kolei trudno sobie wyobrazić pełną jego emancypację przed przywróceniem wolności związkowych. Co jeżeli coś przyciąga ludzi do duszpasterstwa, to przede wszystkim wierność "Solidarności".

Jeszcze jedna ważna sprawa. W tym cierpiącym na kompleks "Solidarności" - zresztą z przyczyn obiektywnych - środowisku, rozwija się dziś głównie kultura robotnicza. Nie jest to nazwa w pełni adekwatna do zjawiska, które ma określać, ale lepszej nie znam. Otóż wymaga zastanowienia taka oto teza: specyfika klimatu duchowego duszpasterstw sprzyja rozwojowi kiczu kulturalnego. Wyraża się on głównie w ekspozowaniu symboliki cierpienia i przemocy, charakteryzuje się przemierzaniem wątków tradycji i brakiem pomysłów na dzisiaj. Ta teza nie wyczerpuje całości zagadnienia, tak jak i cała kultura robotnicza nie składa się przecież tylko z kiczu - ale jest to chyba punkt widzenia, który odsłania fragment interesującej nas rzeczywistości.

Słucham pieśni "Ojczyzno ma...". Jak ktoś nie ma walki na |co dzień, to musi ją sobie wypiewać. Niektórzy twierdzą, że to konieczne.

Słucham pieśni o ks. Jerzym. Katastrofalny tekst, ale to jeszcze nic. Wykonuje się go na melodię popularnego utworu partyzanckiego "Dziś do ciebie przyjść nie mogę...". Włos się jeży na głowie, gardło odmawia posłuszeństwa. Czy to też jest konieczne?

Rzesze ludzi w Gdańsku-Zaspie. Właściwie morze ludzi - bo oltarz, na którym można zobaczyć małą białą sylwetkę jest w kształcie Łodzi, średniowiecznej kogi.

Stoimy. Mały region przyjechał do Papieża. I dziwno - nie czujemy się zagubieni, mali, oddaleni. Jesteśmy razem ze wszystkimi zebranymi - w tym wypadku znaczy to: z całą Polską. Ludzie z całej Polski i sprawy najważniejsze dla całej Polski. Tu nie można czuć się samotnie. Z tego morza nie sposób się wyobcować. Od naszej słabości silniejsza jest Prawda.

Papież o nas i za nas.

O nas: "Solidarność - to znaczy jeden i drugi, a skoro brzemię, to brzemię niesione razem, we wspólnocie. A więc nigdy: jeden przeciw drugiemu... Nie może być walka silniejsza od solidarności... Inaczej rosną zbyt ciężkie brzemiona. I rozkład tych brzemion narasta w sposób nieproporcjonalny".

To trudne słowa, wymagające. Przecież tak często różnimy się, tyle niedobrych rzeczy dzieje się - nie gdzie indziej przecież - tylko między nami. A więc zamilożed o tym? Nie - to jeszcze za mało. Mówić i spierać się pamiętając, że solidarność jest najważniejsza, że przyjął trzeba drugiego człowieka takim, jakim on jest, że nie wolno stawiać się ponad nim, nie wolno się odwracać. Solidarność jest w tym ujęciu rodzajem służby.

Solidarność przed walką. Nie możemy pragnąć zniszczenia przeciwnika. Rozumienie przed walką: to jeszcze trudniejsze. Przecież my nie nazywaliśmy władzy wrogiem, tylko przez nią zostaliśmy tak nazwani...

Tym bardziej - zdaje się mówić papież. Nie określając jej wrogiem, odrzucamy przecież nazwę, którą nam przydała. To bardzo ważne wskazanie. Jak powiedziała by papież - długomyślnie. Aby właściwe cele nie zostały przez walkę zepchnięte na drugi plan. Aby bardziej "walczyć o", a nie "walczyć z". Ale jakże to trudne...

Papież mówiący za nas. O wszystkim, co ważne. Nic nie trzeba dodawać ani komentować. To wielki przykład nad czym i w jaki sposób mamy pracować.

Zostaliśmy napełnieni nadzieją. Dlaczego tak gwałtownie, tak szybko ona w nas zamieszkała, skoro wcześniej byliśmy nieraz tacy przygnębieni?

Ujrzyliśmy świadectwo miłości silniejsze nad wszystkie zwątpienia. Przekonał się po raz kolejny, że taka miłość jest możliwa, że istnieje wbrew wszystkiemu. Że jest konieczna.

Nawet nie zdążyliśmy się zdziwić. Wcześniej ona nas porwała.

/av/

Do redakcji napłynął tekst od Czytelniczki, która dzieli się w nim swoimi refleksjami na temat sposobu relacjonowania przebiegu wizyty Papieża przez telewizję i inne mass media. Publikujemy go poniżej w obszernych fragmentach.

Pielgrzymka pod nadzorem

Poniedziałek, 8 06 87, pierwszy dzień pielgrzymki Papieża.

W tv transmisja z /1/ powitania o 10.35 - pracuję do 15.00, w pracy nie ma telewizora. Nie oglądam.

Oglądam spotkanie /2/ na Zamku i /3/ Mszę św. otwierając Kongres Eucharystyczny.

Wtorek, 9 06 87.

Uroczystość /4/ na Majdanku - 9.25. Nie oglądam - pracuję.

/5/ Lublina nie oglądam, bo transmisja lokalna.

Środa, 10 06 87.

/6/ Msza św. w Tarnowie - lokalna, nie oglądam.

/7/ Wawel - oglądam spotkanie z Janem Pawłem II po raz trzeci.

Czwartek, 11 06 87.

/8/ Msza św. w Szczecinie - 10.55 - nie oglądam, pracuję.

/9/ Gdynia - nie ma nawet lokalnej transmisji.

Piątek, 12 06 87.

/10/ Westerplatte - 8.55 - nie oglądam, pracuję.

/11/ Spotkanie z chorymi w Gdańsku - nie ma transmisji.

/12/ Msza św. na Zaspie - lokalnie, tylko dla Gdańska. Nie oglądam.

Sobota, 13 06 87.

/13/ Jasna Góra - nie ma transmisji.

/14/ Msza św. w Łodzi - lokalna, nie oglądam.

/15/ Spotkanie z przodkami - jak wyżej.

Niedziela, 14 06 87.

/16/ Msza św. zamykająca Kongres Eucharystyczny - oglądam Papieża po raz czwarty.

/17/ Pożegnanie na lotnisku - oglądam Papieża po raz piąty.

Jan Paweł II spędził w Polsce 7 dni wypełnionych po brzegi spotkaniami z milionami ludzi. Z tych 7 dni mogłam Go widzieć w czasie 3 dni, w tym w poniedziałek i środę fragmentarycznie, a tylko jednego dnia /14 06/ pozwolono mi obejrzeć prawie cały przebieg uroczystości.

Na 17 "punktów programu" mogłam uczestniczyć - dzięki dobrodziejstwu telewizji - w pięciu.

W tych 17 głównych "punktach" /bo różnych spotkań było jeszcze więcej/ zmieściło się 13 spotkań z tłumami Polaków - na Mszach św. i poza kościołem.

Telewizja ogólnopolska transmitowała ich 6, ja - kobieta pracująca - mogłam z tego obejrzeć 3. Były to wyłącznie spotkania ściśle religijne /Msza św. na Grzybowskim, Wawel, Msza św. pod PKiNem/. O tym jak przebiegały rozmowy papieża z narodem /Tarnów, Kraków, Szczecin, Gdynia, Gdańsk, Łódź/, z polskim światem pracy - ani sły-
chu, ani widu. Migawek-ochłapów w teleekspresie i dtv nie liczę. /Podczas powitania w Szczecinie telewizja Papieżowi w ogóle głosu nie udzieliła. A może to Papież pozwolił się powitać i nie raczył powitać ludzi? Dzięki tv nie wiem do dzisiaj./

Już po emisji programu dowiedziałam się [o dłuższych fragmentach "dawanych" ze spotkania z chorymi w Bazylice Gdańskiej - późną porą w sobotę, bez informacji o tym w planie transmisji telewizyjnych, jaki zamieścił "Kurier Podlaski".

Telewizja nie przewidziała powtórzenia programów transmitowanych w czasie godzin pracy, ani - tym bardziej - pokazania całej Polsce programów lokalnych.

Dzięki ogromnemu nakładowi sił i środków telewizji udało się "odebrać" spotkanie z Janem Pawłem II niemal całkowicie. Mogłabym powiedzieć, że odebrało mi Papieża. Tylko - czy można odebrać częściowi skarby jego serca?

Czy ja dzięki tym "dobrodziejstwom udostępniania" poczuję do tv jeszcze większą wdzięczność?

Nienawisć chyba nie poczuję, ani mniejszej, ani większej. Nienawisć zostawiam zaciekłym wrogom spotkania się Papieża z Polakami.

Teraz czekam na tych, co może któregoś dnia przyjdą i powiedzą - skoro nie było ani widać, ani słyhać, to skąd można wiedzieć, że stało się coś naprawdę? Więc zatem prawdopodobnie, na pewno, z całą pewnością nie stało się nic.

Teologia wyzwolenia

do

zniewolenia

cz.1

I. Posoborowa ewolucja teologii katolickiej i nauki społecznej Kościoła

Począwszy od lat pięćdziesiątych XX wieku teologia katolicka dokonuje znamiennego zwrotu ku źródłom, tj. Pismu Świętemu. Po II Soborze Watykańskim trend ów przybrał na sile, pogłębiając się jednocześnie o inne elementy ewolucji myśli katolickiej. Owe elementy to m.in. łączność ze światem i ekumenizm. Rzeczą charakterystyczną jest, iż Kościół zdał sobie sprawę z pewnej izolacji, w jakiej znalazł się na skutek ogromnego tempa wzrostu i przemian społecznych. Inną opinię na ten temat wyraża w pracy "Le choc d'une théologie prophétique" O. Claude Geffré, profesor Wydziału Teologicznego Instytutu Katolickiego w Paryżu, pisząc: "Pod pretekstem mianowicie, iż Kościół nie wywiera już wpływu typu socjologicznego na współczesne społeczeństwo, chrystianizm wyrzeka się własnej historycznej efektywności w dziele przeobrażenia społeczeństwa i świata i wystawia się na niebezpieczeństwo zamknięcia w granicach samej wiary".

Z kolei prof. Strzeszewski ujął to następująco: "Kościół, który pragnie być w świecie i działać w świecie, musi być wrażliwy na dokonującą się wciąż ewoluującą stosunków społecznych i postępu kultury". Właśnie owo "istnienie w świecie" jest w moim rozumieniu karalem świadomością dotychczasowego, nie zawsze skutecznego zainicjowania Kościoła i nauki Chrystusa w człowieku, jak i świadomości odwrócenia się człowieka od Boga oraz przekroczeniem o konsekwencjach jakie mogą nastąpić w wyniku pewnej nieekspansywności Kościoła lub może nieskutecz-

nych metod działania - istnienia.

Kolejnym novum, które należy zauważyć, jest nawiązanie kontaktów pomiędzy teologią katolicką a teologią protestancką czy prawosławną. Jest to otwarcie się, i to nie tylko na zagadnienia teologiczne, lecz również na inne światopoglądy.

Jeszcze inną ocenę współczesnej teologii daje jeden z "rewolucyjnych chrześcijan", brazylijski jezuita Hugo Assmann. Uważa on, że współczesna teologia drepcie bezproduktywnie w pustej przestrzeni zagadnień już od dawna dowiedzionych.

Wpływ ewolucji teologii katolickiej na katolicką naukę społeczną polegał na przesunięciu akcentu z filozofii społecznej na teologię społeczną. Dotychczas zaniebano badanie problemów społecznych w Piśmie Świętym, stało się zagadnieniem bardzo istotnym. Nie wdając się w głębsze rozważania na temat, dlaczego dotychczas pomijano bądź niedostatecznie rozwijano problemy społeczne zawarte w Piśmie Świętym, można powiedzieć, że przyczyn takiego stanu należy szukać w zbyt jednoznacznie teologicznym, dość kostycznym i konserwatywnym "czytaniu" Pisma Świętego. Kościół był zbyt zamknięty, zbyt teoretyczny - a mało radykalny w bardzo skonkretyzowanym działaniu społecznym. Oczywiście nie oznacza to, że Kościół nie był w ogóle zaangażowany w sprawy społeczne, gdyż takiej tężyzny przeczy potężna praca dokonana przez kolejnych papieży, począwszy od encykliki "Rerum novarum" Leona XIII oraz "Quadragesimo anno" Piusa IX czy encykliki Jana XXIII "Pater et magistra" i "Facon in terris".

II. O teologii społecznej - do teologii wyzwolenia

Jak już zauważyliśmy, w nauce społecznej Kościoła w zasadzie już od II wojny światowej dostrzegane są tendencje nawiązywania bliższego kontaktu z rzeczywistością społeczną, ze stanem moralności społecznej. Efektem tego było wypracowanie na gruncie katolickiej nauki społecznej, pogłębionej o elementy teologiczne, nowych kierunków myślenia. Rozumieniem przez to teologię rzeczywistości ziemskich G.Thilisa, która stała się podstawą nowej dyscypliny teologii społecznej. Pytając o przedmiot tejże, można powiedzieć, że jest nim człowiek, ale nie człowiek wyabstrahowany ze swego otoczenia, lecz osoba ludzka w determinujących ją w znacznym stopniu stosunku do dóbr materialnych, metod zaspokajania potrzeb lub - posługując się żargonem socjologicznym - jednostka w całokształcie swoich relacji z otoczeniem. Teologia rzeczywistości ziemskich to już nie tylko bardzo ogólna teologia społeczna, lecz także teologia gospodarcza - czy posługując się określeniem Stefana kardynała Wyszyńskiego - teologia chleba, pracy, fabryki, teologia wartości ekonomicznych, czy też teologia przedsiębiorstwa przemysłowego, teologia czasu wolnego. Precyzując owe pojęcia i jednocześnie formułując bardzo ogólnie, można by rzec, że mamy tu do czynienia z teologią czy może teologiami doczesności w odniesieniu do Stwórcy. Profesor Strzeszewski w "KRS" próbując przybliżyć nam znaczenie i specyfikę tej nowej, społecznej teologii, uważa, że polega ona na tym, iż pewne prawdy wiary stają się pojmowalne dopiero

ro w płaszczyźnie struktury społecznej ludzkości.

Kolejną konkretyzacją teologii społecznej jest teologia polityczna niemieckiego duchownego katolickiego J.B. Metz'a. Jest ona próbą sformułowania eschatologicznego postannictwa Chrystusa w kategoriach współczesnego społeczeństwa. Uważa się, że będzie to próba udana dzięki istnieniu owego kierunku teologii, której cechą charakterystyczną jest egzystencjalny i personalistyczny charakter. Jak pisze prof. Strzeszewski "Kościół żyje nie ponad ani obok rzeczywistości ziemskiej, lecz wśród niej. Kościół jako instytucja ma wobec rzeczywistości społecznej obowiązki o charakterze krytyczno-wyzwoleniczym. To znaczy, że przez swą misję krytyczną w stosunku do życia społecznego Kościół przyczynia się do wyzwolenia człowieka z błędów popełnianych w życiu". Nie istnieją bowiem żadne struktury społeczne, które wolne są od błędów. Oczywiście nie można sprowadzać społecznej nauki Kościoła do roli li tylko krytycznej, lecz zaakcentowanie tej roli jest dla teologii politycznej cechą znamionną. Nauka Kościoła powinna być również pewną aksjologią, wskazaniem wartości, wytyczeniem drogi bycia człowiekiem w jego doczesności, doczesności nakierowanej na życie w Chrystusie. Zaangażowanie Kościoła w świat jest w obecnej chwili niezbędne - przejawem tej obecności w świecie a nie ponad światem jest właśnie teologia polityczna. Można by w tym miejscu zapytać, co oznacza "bycie Kościoła w świecie"? Otóż według mnie - jest to przede wszystkim istnienie trwałych podstaw nauki Chrystusa już nie tylko w człowieku, lecz także wokół człowieka; jest to również bardziej zdecydowana walka Kościoła z wszelkimi tendencjami totalitarnymi, zniewalającymi człowieka i jego umysł poprzez próbę wyzwolenia go od Boga, od zasad etyki, moralności chrześcijańskiej. Bycie w świecie ma charakter nie tylko statyczny, a raczej nie tyle statyczny, co właśnie dynamiczny, kreacyjny. Myślę, że kreacyjna rola Kościoła jest obecnie niezbędna.

W okresie posoborowym pojawił się w teologii bardzo kontrowersyjny kierunek zwany teologią wyzwolenia - a w najskrajniejszej formie - przybierający postać teologii rewolucji.

III. Teologia wyzwolenia - źródła, geneza, idee przewodnie

Teologia wyzwolenia jest swoistym fenomenem, specyficznym wytworem stosunków społecznych, politycznych i gospodarczych w Ameryce Łacińskiej - gdzie znajduje największy rozgłos, obok niektórych krajów tzw. Trzeciego Świata. Jest fenomenem teologiczno-filozoficznym podejmującym wiele problemów niezwykle istotnych dla współczesnego chrześcijaństwa. Problemy te to m.in. - nowy obraz relacji między teologią a naukami społecznymi, ekonomicznymi i politycznymi, relacje pomiędzy chrześcijaństwem a marksizmem, nowe pojmowane idee wolności i wyzwolenia, sprawiedliwości, miłości, godności osoby ludzkiej. Teologia wyzwolenia nie wyrasta z refleksji teologicznej lecz z anormalnych stosunków społecznych, niesprawiedliwości, upodlenia istoty ludzkiej i zniewolenia panujących na niektórych obszarach świata. Prof. Enrique Dussel, wykładowca etyki na Uniwersytecie

w Mexico, będący jednym z twórców teologii wyzwolenia, uważa, że jawi się ona jako wspólna - wielu zaangażowanym politycznie chrześcijanom - refleksja nad praxis wyzwolenia, jako teologia moralna rozważana z punktu widzenia ludzi spychanych na margines.

Mówiwo o źródłach, które doprowadziły do powstania i upowszechnienia - czy wręcz szalonej popularności - teologii wyzwolenia, wyróżnić należy dwa: ekonomiczne oraz doktrynalne. Ogólnie rzecz charakteryzując można powiedzieć, że Ameryka Łacińska to kraje ekonomicznie i gospodarczo zacofane, w których część społeczeństwa odczuwa nędkę "jako nie dające się ścierpieć naruszenie ich wrodzonej godności"⁴, gdzie występują rażące nierówności i to zarówno natury materialnej jak i szeroko pojętych możliwości decydowania o samych sobie. Oczywiście raczej jest, że takie stosunki, wyzysk ekonomiczny i społeczny - doprowadziły do radykalizacji poglądów - że wyboru dokonuje się na rzecz środków radykalnych, rewolucyjnej przemocy. Rzeczą znamieną jest, że radykalizacja postaw dotyczy również środowisk Kościoła katolickiego - czego przejawem była II Konferencja CELAM w Medellin w 1968 r. - podczas której napiętnowano różne formy niesprawiedliwości panujące w Ameryce Południowej, wyzysk określając jako zinstytucjonalizowaną przemoc prowadzącą do trwałego zniewolenia człowieka. W dokumentach Konferencji znalazło się pojęcie "wyzwolenia człowieka" z różnych form niewoli: ekonomicznej, politycznej, społecznej, kulturalnej, rasowej, cywilizacyjnej.

Wspomnieć również należy o doktrynalnych źródłach teologii wyzwolenia, które za księdzem prof. Kowalczykiem podzielić można na chrześcijańskie i pozachrześcijańskie. W chrześcijańskim nurcie umieścić można wspomnianą już wcześniej teologię polityczną J.B. Metzsa /która nota bene dopuszcza możliwość użycia siły, przemocy w przypadku chronicznego naruszenia sprawiedliwości społecznej/ oraz teologię sekularyzacji /"teologię śmierci Boga"/ Harveya Cox'a i Gabriela Vahaniana. Zarzucając one otcowemu chrześcijaństwu desakralizację życia społecznego, debakualizację idei filozoficzno-teologicznych.

Marksizm z kolei uznany został za główne i nota bene jedyne pozachrześcijańskie źródło teologii wyzwolenia. Mamy tu do czynienia z licznymi zapożyczeniami elementów materializmu historycznego, materializmu dialektycznego, szczególnie w wypadku postulatów ks. Gustavo Gutièrreza. Związek marksizmu z teologią wyzwolenia akcentuje wesoelski książę Antonio Perez-Declarin, który nie kwestionując ateizmu Zwartego w marksizmie, będącego jego elementem konstytuującym, uważa, iż marksizm jest teorią wyzwolenia człowieka! Tymczasem już przynajmniej od momentu ukazania się "Humanizmu integralnego" Jacquesa Maritaina wiadomo jedno: marksizm jest filozofią skierowaną przeciwko Bogu i przeciwko człowiekowi, jest filozofią totalitarne-go zniewolenia i upodlenia człowieka, jest wreszcie, jak to ujął ks. Józef Tischner w "Polskim kształcie dialogu" ideologią w sposób pseudofilozoficzny sankcjonującą bezprawie, niszczenie ludzkiej godności i niezależności, krwawe mordy, niszczenie chrześcijaństwa w każdym jego przejawie.

Niestety, na przykład książę Jose Maria Gonzalez-Riu zauważa

zbieżność // ewangelicznej i marksistowskiej idei wyzwolenia człowieka. Trzeba w tym miejscu zaznaczyć - co nie jest bez znaczenia - ogromną popularność idei socjalizmu, komunizmu czy marksistowskiej koncepcji "wyzwalania" wśród duchowieństwa Ameryki Łacińskiej. Jest rzeczą raczej charakterystyczną, że popularność komunistycznych naseł wyzwolenia człowieka spod ucisku /nigdy do końca nie sprecyzowanego w koncepcji marksistowskiej/ jest odwrotnie proporcjonalna do zasobności danego kraju.

"Instrukcja o niektórych aspektach „teologii wyzwolenia”" Kongregacji Nauki Wiary wprowadza istotne rozróżnienie, wskazując na niejednorodność i nieistożsamość wielu nurtów opatrzonych wspólnym mianem "teologii wyzwolenia". Zasadnym jest rozróżnienie na "teologię wyzwolenia" - traktowaną jako pojęcie definiujące nurt umiarkowany, oraz "teologię rewolucji" - nurt radykalny, rewolucja /w ujęciu marksistowskim/ traktujący jako narzędzie wyzwolenia. Czy skrajnie lewicowy, radykalny wariant, może budzić poważne wątpliwości, czy jest jeszcze teologią, czy nie jest przypadkiem fałszywą teologią. W niniejszej pracy będą posługiwać się terminem "teologia wyzwolenia" precyzując, czy mam na myśli nurt umiarkowany, czy jego odmianę radykalną, rewolucyjną.

Przedstawicielami nurtu umiarkowanego są m.in.: arcybiskup brzylijski Helder Camara - postulujący całkowite zerwanie Kościoła z systemami aprobującymi stan krzywdy społecznej oraz zmianę tych struktur - oraz Leonardo Boff, Segundo, J.M. Gonzalez-Rius, ojciec Bonifacio.

Odadźmy głos Leonardo Boff'owi, prezentującemu własną wizję funkcji społecznej Kościoła i rozumienie zadań teologii wyzwolenia. W książce "Kościół: charyzma i władza" Boff twierdzi, że w obliczu wyzwania społecznego Kościół dokonał wyboru: sprzymierzył się z ubogimi przeciwko ich nędzy, strukturom społecznym i politycznym ową nędzę utrwalającym i na rzecz sprawiedliwości - rozumianej jako likwidacja struktur kapitalistycznych. Chodzi tym samym o dążenie do społeczeństwa typu marksistowsko - leninowskiego. Boff uważa, iż często stawiany zarzut, że teologowie wyzwolenia posługują się analizą marksistowską w oglądzie społeczeństwa "odnosi ten skutek, iż nie uwierzytelnia kościelności teologii i łączy ją z elementami nie do przyjęcia z punktu widzenia wiary: walką klasową i upolitycznieniem". Boff - jako jeden z przedstawicieli teologii wyzwolenia o umiarkowanym obliczu - twierdzi, że problem nie polega na stosowaniu bądź nie stosowaniu pewnych kategorii marksistowskich w celu wyjaśnienia mechanizmów powstawania nędzy ludu. Precyzuje, że istota problemu polega na tym, iż oficjalna hierarchia kościelna - stojąc na stanowisku pro-kapitalistycznym - nie chce jakichkolwiek zmian w społeczeństwie - zdaniem Boffa niezbędnych, aby zagwarantować ludowi życie.

Z kolei w wywiadach udzielonych pismom "Le Monde" i "L'Unité" na pytanie o kategorie marksistowskie wykorzystywane w "języku" teologii wyzwolenia - udziela dość pokrótnej odpowiedzi, sugerując, że

marksizm w postaci religii, metafizyki i całościowej interpretacji bytu /marksizm w swojej stalinowskiej interpretacji/ jest nie do przyjęcia, że "my nie mamy z tym nic wspólnego", natomiast całość nauki Marksa w dziedzinie społeczno-ekonomicznej oraz leninowska teoria imperializmu - umożliwiła teologom wyzwolenia zrozumienie logiki wielkiego kapitału, procesów wyzysku, znaczenia ekonomii w podziale strukturalnym społeczeństwa. Nieco dalej Boff uznaje się za zwolennika "autentycznego marksizmu" /nie precyzując owego mglistego pojęcia/, gdyż właśnie "autentyczny marksizm" wydobywa sprawy i wartości mieszczące się w wielkiej tradycji biblijnej, chrześcijańskiej!!!

Pozwolę sobie w tym momencie na osobistą refleksję. Bredzenie o "autentycznym marksizmie" przypomina jako żywo inne współczesne mistyfikacje - w rodzaju "realnego socjalizmu" czy "komunizmu o ludzkiej twarzy" - które, jak dowodzi owa praxis - uznawana przez teologów wyzwolenia za niezmiernie ważną i podstawową - przeradzają się w nową, "wyzwoleńczą", zinstytucjonalizowaną formę bezprawia i bezbiałostwo /casus Kuby/.

Zadedykować zatem warto Leonardo Boff'owi jego własną wypowiedź z artykułu "Egzaminując nie wyzwolenczą wizję teologii" pomieszczonego w periodyku "El Pais" - następującej treści: "Prowadzenie rozważań w oparciu o praktykę nie jest tym samym, co snucie refleksji na temat". No właśnie!

Prezentując nurt radykalny, któremu poświęcę nieco więcej uwagi, rozpoczyna od wymienienia trzech nazwisk, których właścicielom przyisuje się reprezentowanie tej odmiany teologii wyzwolenia: książd Gustavo Gutierrez, Hugo Assmann, Enrique Dussel.

Książd katolicki z Limy, Gustavo Gutierrez, w swich rozważaniach przesuwając centrum zainteresowania z Boga na człowieka. Można w tym miejscu po raz wtóry odwołać się do końcowych fragmentów pierwszego rozdziału "Humanizmu integralnego" Maritaina i powiedzieć, że mamy tu do czynienia ze swoistym humanizmem antropocentrycznym, w myśl którego człowiek sam jest centrum siebie i wszystkiego, jedynym zasadnikiem i celem ostatecznym. Kolejne postulaty Gutierrez są równie interesujące: Objawienie nie jest wyłącznym kryterium prawdy, wiara chrześcijańska jest wewnętrznie powiązana ze sferą polityki, tradycyjna teologia jest przez Gutierrez kwestionowana jako "eksport" krajów bogatych, związany ze strukturami nacisku. Z kolei Enrique Dussel uważa, że teologię uprawia się najczęściej w środowisku burżuazyjnym, oligarchicznym i w świecie neokapitalistycznym. Pobrzmiewają tu hasła specyficznego "internacjonalizmu" współczesnego komunizmu, permanentnej rewolucji światowej - która ciągle - na szczęście - pozostaje niezrealizowana, choć w wielu państwach właśnie pod hasłami marksizmu i leninizmu prowadzi się walki narodowyzwolenicze.

Ze zamachów międzynarodowego pisma teologicznego "Concilium" - wspomniany wyżej Enrique Dussel "ujawnia" we współczesnych teologiach faktyczną akceptację struktur instytucji kapitalistycznego ucisku i wyzysku, namienie iluzoryczną nadzieją humanizacji stosunków międzyludzkich bez naruszania podstawowych struktur i mechaniz-

mów funkcjonowania kapitalizmu, konserwację tradycyjnego mitu rzekomej neutralności Kościoła w obliczu opozycji kapitalizm - socjalizm. Tenże autor cytuje jedną ze "stereotypowych, pseudohumanistycznych" - jego zdaniem - wypowiedzi, pochodzącą z dokumentu końcowego Konferencji Episkopatu Latinoamerykańskiego w Puebla de Los Angeles: "Kościół pragnie pozostać wolnym w stosunku do przeciwstawnych sobie systemów by optować na rzecz człowieka" - by zaraz dać "szuszną odpór" i w iście marksistowskim stylu zareplikować - "wypada zauważyć, że kiedy optuje się jedynie na rzecz człowieka, należałoby natychmiast postawić sobie pytanie: na rzecz jakiego człowieka, wyzyskiwanego czy ciemiężyciela!"

Pomijając już co celniejsze, mniej lub bardziej "demaskatorskie" wypowiedzi - warto zauważyć rzecz następującą. O ile przez wiele lat teologia wyzwolenia szukając swego miejsca w ramach oficjalnej nauki Kościoła, spełniając rolę przysłowiowego "kija w mrowisku", przyczyniła się do pewnego "przewietrzenia" teologii europejskiej i otwarcia na nowe formułowanie problemów, o ile dla krajów Latinoamerykańskich była czymś w rodzaju szansy na własne - nieco odmienne od zachodnioeuropejskiego - dociekania teologiczne, o tyle obecnie, po spełnieniu inspirującej roli, a co najważniejsze, po ukazaniu swego prawdziwego, "czerwonego" oblicza i marksistowskiej inspiracji, stała się doskonałym instrumentem do atomizacji, wewnętrzznego rozkładu Kościoła, do wprowadzania marksistowskich kategorii myślenia i widzenia w ramy religii; stała się narzędziem sztucznych podziałów na Kościół-centrum, przysłowiową Lewicę, prawicę... Watykan w rozumieniu rewolucjonistów-teologów uznany został za najbardziej prawicowy, zachowawczy, ortodoksyjny, reakcyjny wręcz odłam - nie mający w zasadzie prawa do nauczania na kontynencie Latinoamerykańskim - to jest w obrębie wpływów "oświeceniowej" teologii wyzwolenia. Użytkano też doskonałą okazję do podważania roli Urzędu Nauczycielskiego Kościoła, a co najgroźniejsze do negacji nauczania Jana Pawła II.

Istotnym elementem w teologii wyzwolenia, który już został zaznaczony wcześniej, jest aproba walki klasowej i rewolucji z użyciem przemocy. Argumentem, który ma przemawiać za powyższym postulatem jest fakt, że Kościół nie powinien pozostawać neutralny wobec zjawiska antagonizmów klasowych, gdyż byłaby to kolaboracja z uprzywilejowaną klasą posiadaczy. Wspomniany już wcześniej brazylijski jezuita Hugo Assmann twierdzi wręcz, że "również w Zonie Kościołów poczyna przybierać na sile walka klasowa, co jest skutkiem jej zaostrenia w całym społeczeństwie".

Etyczna godziwość rewolucji społecznej uzasadniana jest teorią "szuszonej wojny", akceptowanej przez tradycyjną teologię moralną. Szczególnie kontrowersyjnym twierdzeniem, na które chcą zwrócić uwagę, jest sugestia, że walka klasowa nie wyklucza miłości bliźniego. Uważa się, że jej eksplikacją ma być właśnie walka klasowa i rewolucja niszcząca grzech społeczny. Realizacja miłości bliźniego ma być wyzwolenie uciesionych przy równoczesnym wyzwoleniu bogaczy z grzechów luksusu i niesprawiedliwości. Suttirez moim zdaniem

posuwa się za daleko - widząc w Jezusie Chrystusie opozycjonistę wobec ówczesnych struktur politycznych i dlatego realizowanie przezeń wyzwolenia z grzechu jest uznawane jednocześnie za wyzwolenie od każdej formy zniewolenia człowieka. Pozwól sobie w tym miejscu zestawić powyższą sugestię z wypowiedzią jednego z czołowych publicystów "La Civiltà Cattolica", który mówi, że "wolność ewangeliczna nie zawiera się w wyzwoleniu człowieka z niewoli innych ludzi, lecz w wyzwoleniu go z własnych grzechów za pośrednictwem Jezusa Chrystusa".

Guttierrez bazując na ideach marksisty i rewolucjonisty Ernesto "Che" Guevary - "brodatego partyzanta, który podobny jest do Chrystusa składającego z siebie ofiarę" - zastępuje personalizizm chrześcijański kolektywistyczną koncepcją człowieka oraz twierdzi, że walka klasowa i rewolucja stosują przemoc - która nie jest zła: istnieje "niesprawiedliwa przemoc ciemiężców" i "sprawiedliwa przemoc ciemiężonych". Jeśli likwiduje się system zniewalający człowieka, to zastosowanie przemocy jest etycznie usprawiedliwione. Zacytujmy zresztą inną wypowiedź Guttierrezza: "Nasza miłość nie jest autentyczna, jeśli nie postępuje drogą klasowej solidarności i walki społecznej. Widział w walce klasowej nie tylko nie jest sprzeczny z uniwersalną miłością; to zaangażowanie się jest dzisiaj koniecznym i nieuniknionym środkiem skonkretyzowania tej miłości".⁶

Że nieco odmianą, szerszą, by nie rzec wręcz totalitarną interpretacją funkcji walki klasowej w odniesieniu do Kościoła, spotkać się możemy na łamach "Wyjści Marksistowskiej" w artykule Marka Szczepaniaka, który błyskotliwie dowodzi, "że poprzez teologię wyzwolenia uświadomiliśmy się w sposób wyraźny podstawowe sprzeczności istniejące w Kościele katolickim, które to sprzeczności - z kolei - są wyrazem sprzeczności klasowych, walki klasowej, w której Kościół uczestniczy i której nie jest jedynie biernym obserwatorem, ozy bezstronnym mediatorem...".⁷

Autor w swoich interpretacyjnych zapędach idzie jeszcze dalej: "Zastosowanie przez teologię wyzwolenia marksistowskiej teorii walki klas jedynie precyzuje i wyrażnie sytuuje hierarchię kościelną i władzę watykańską po jednej stronie barykady walki klasowej, oskarżając tym samym Kościół oficjalny o proimperialistyczną optykę polityczną, konserwatywną i obronę światowego status quo". Trzeba przyznać, że świetnie napisane, nieprawdaż? Stąd - jak sądzę - już tylko krok do ogłoszenia dzieła "O Zbawczym znaczeniu marksistowskiej teorii walki klas dla Kościoła katolickiego"!!!

Zastanawiającym jest fakt, dlaczego właśnie Kościół katolicki w krajach latynoskich, gdzie katolicyzm jest religią dominującą, osiagającą w niektórych krajach 95% całej populacji - podlega tak bezpardonowej krytyce - zarówno ze strony czołowych teoretyków teologii wyzwolenia - jak również działaczy i publicystów o wyraźnym promarksistowskim zabarwieniu. Przy tym zauważyć należy, że owa krucjata ma nie tyle charakter teologiczny, nie dotyczy prawd wiary, Objawienia, lecz jej prawdziwym celem zdaje się być sam Kościół katolicki i chrześcijaństwo jako takie.

Odpowiedź wydaje się oczywista. W moim odczuciu Kościół katolicki na kontynencie latynoamerykańskim stał się instytucją zbyt potężną, zbyt znaczącym ośrodkiem kulturotwórczym, rozpoczął realizację swojej misji społecznej i politycznej zgodnej z zasadami etyki i miłości, naprawdę zaistniał w świadomości człowieka i *Just but not least*, stał się także w wielu krajach częścią władzy - co dla inspirowanych przez sowiecki ekspansjonizm czy imperializm wojujących marksistów i księży-partyzantów spod znaku "Che" Guevary stało się przysłowiową kroplą przepełniającą czarę goryczy.

Odzewem na dominującą rolę Kościoła katolickiego w życiu duchowym, społecznym a także politycznym była i jest m.in. właśnie mglisto-otopijna teologia wyzwolenia, której treści, choćby nawet ubrane w religijną frazeologię, są jednoznacznie "czerwonorewucyjne". Celem pierwszym jest - jak sądzę - zniszczenie Kościoła katolickiego i chrześcijaństwa w krajach latynoamerykańskich, celem drugim - jest przygotowanie gruntu do wykrystalizowania się "w pełni hegemonicznej klasy, zdolnej do przyswojenia i realizacji tych treści rewolucyjnej ideologii, która oparta by była na naukowej teorii marksizmu-leninizmu i dostosowana do warunków Ameryki Łacińskiej".

Z tych też względów katolicyzm pomawiany jest o kolonialny charakter. Zależność między katolicyzmem a kolonializmem dostrzega R. Tenger w artykule "Strach przed wyzwoleniem" i twierdzi, że "Kościół w Ameryce Łacińskiej jako noszący jeszcze cechy średniowiecznego katolicyzmu importowanego przez hiszpańskich i portugalskich władców kolonialnych uchodził do niedawna za instytucję kolonialną, która była uzależniona od zagranicy i serdecznie zaprzyjaźniona z miejscową oligarchią".

Nieżyjący już dziś ksiądz-partyzant, Jamilo Torres w wywiadzie udzielonym bogocerkiewskiej gazecie "La Republica" wywodzi z obserwacji faktu rzekomego, "obiektywnego" Związania hierarchii kościelnej z klasami posiadającymi daleko idące, praktyczne wnioski: "Wyraja mi się, że many do czynienia z klasycznym przykładem tego, jak Kościół uległ czarowi posiadania władzy ekonomicznej i politycznej /.../. Jestem zwolennikiem wywłaszczenia Kościoła, nawet gdyby nie było żadnej rewolucji".

Skoro zatem wiadomo już, że nie chodzi tu o jakiegokolwiek reformowanie Kościoła, współczesnienie i dostosowywanie jego nąpti do dzisiejszych problemów i regionalnych, latynoskich odmienności, lecz o jego całkowite wyrugowanie i zniszczenie, zadać sobie warto pytanie, dlaczego instrumentem owego zniszczenia ma być właśnie rewolucyjna teologia wyzwolenia - a nie sam, otwarcie zaproponowany prze-wrót na marksistowską modkę? Przyczyn jest wiele.

Po pierwsze - marksizm - wbrew zapewnieniom jego latynoskich wy-nawców - nie jest ani tak modny wśród warstw intelektualnych /"nowych warstw średnich"/, ani tak skuteczny w budzeniu niepodległościowych, antyimperialistycznych ruchów; fascynacja nim - /chociażby ze względu na pobliską Kubę jako doskonały przykład tragicznych skutków konco-wych - do jakich ta ideologia w rzeczywistości prowadzi/ - której się maniackalnie dowodzi - jest po prostu jadrą wielką, totalną mistyfi-kacja.

Po drugie - "Liturgia podbudowana teologią zawierającą elementy żywej w tym środowisku ideologii jest niezwykle atrakcyjna. Choćby i dlatego, że sam marksizm w jego naukowym wydaniu napotyka często-kroć nieprzekraczalne bariery ideowej i politycznej absorpcji - chociażby ze względu na klasową pozycję tych warstw. Elementy utopijności, mesjanizmu, naukowej teorii i modnych prądów filozoficznych - a wszystkie te elementy teologia wyzwolenia przecieć posiada - są bliższe warstwom intelektualnym niżli socjalizm naukowy".

Po trzecie - młoda inteligencja, owe "nowe warstwy średnie", gdzie teologia wyzwolenia powstała, nie są jednakże jej głównym odbiorcą. Szerokie masy ludowe są jej głównym adresatem, a zatem marksizm nie jest tutaj przyswajalny. Dodać warto, że w krajach latynoskich nie mamy do czynienia z klasycznie rozumianym proletariatem, który w teorii Marksa ma stać się klasą nacechowaną antyimperialistycznym nastawieniem i gotowością do rewolucyjnych czynów, lecz z szerokimi warstwami marginesowymi zarówno miast jak i wsi, ludom, milionami rolnych robotników sezonowych - jednym słowem chodzi tu o warstwę plebejską. Płaszczyzną - "na której może nastąpić więź integrująca członków tych warstw, na której może nastąpić zaakceptowanie się ich „klasowej” świadomości - jest właśnie religia. Katolicyzm ludowy, jaki w tych warstwach dominuje, łatwo adaptuje różnego typu zmiany i ideologie, tym bardziej im lepiej odpowiada na pytania dotyczące ich egzystencji, miejsca i roli, jaką spełniają w społeczeństwie. To, co proponuje teologia wyzwolenia - szczególnie w swej „Ziemi-wieji” warstwie treściowej - odpowiada zapotrzebowaniu tych warstw na taki typ ideologii, którą są w stanie zrozumieć i zaakceptować. Eschatologia i rewolucyjna społeczna nie kłócą się tu, a wręcz - wzajemnie dopełniają".

Po czwarte - dalej posługamy się interpretacją w marksistowskim stylu - na proletariata przemysłowy "Znaczenie jest oddziaływanie ideologii burżuazyjnych i socjaldemokratycznych, nie postulujących obalenia kapitalizmu. W tym przypadku ani komunizm, ani teologia wyzwolenia nie znajdują akceptacji" - można by rzec - chwala Bogu!

Po piąte - oczywiście jest, że teologia wyzwolenia traktowana instrumentalnie ma do spełnienia przynajmniej dwa zadania: warstwę plebejską totalnie zdeorientować i pchnąć w wiadomy kierunku /raczej ku samozagładzie niż światlanej komunistycznej przyszłości/, dokonać rozłam w obrębie Kościoła - by następnie, po odrzuceniu zbędnych masel - stać się nową religią - komunizmem - wyłonioną - - c sgroźce! - z katolicyzmu.

Wg. komentatorów marksistowskich - teologia wyzwolenia, a właściwie jej klasowa optyka - powoduje, iż znajduje się ona w "szerokim nurcie antyimperialistycznego żywiołu, próbując mu nadać kierunek i kształt. Tam gdzie sytuacja rewolucyjna jest dostatecznie dojrzała, by móc spowodować rewolucję, tam też przyjmuje radykalny charakter i aprecywowany cel: jest nim socjalizm".

Destrukcyjny charakter teologii wyzwolenia, ujawniający się realnie tam, gdzie "teologia marksizmu" - jak ją wypada nazwać - czynnie wspiera lewicowe, komunistyczne ruchy. By nie być gołosłownym przy-

pomnę casus Nikaragui, gdzie ruch sandinowski z równym powodzeniem posługuje się ideologią marksizmu-leninizmu jak również ideologia teologii wyzwolenia. Istnieje poważna i realne niebezpieczeństwo, że podobne mechanizmy mogą stać się niebawem doskonałym wzorcem do komunistycznych rewolt w Salwadorze, Kolumbii, Boliwii czy Peru. c.d.r.

Jacek Zamorski

P R Z Y P I S Y

1. Cz.Strzeszewski, Katolicka Nauka Społeczna, U-wa, CDISS, s.324.
2. Hugo Assmann, Aspects fondamentaux de la réflexion théologique en Amérique Latine, w "Literatura" nr 5/85, s.17.
3. Cz.Strzeszewski, op.cit., s.326.
4. F.Houtart, E.Pin, Kościół w godzinie, FAX, 1972, ss.188, 187, 191-192.
5. "Instrukcja o niektórych...", 1, w: Dokumenty nauki społecznej Kościoła, t.II, KUL, Fundacja Jana Pawła II, Roma-Lublin 1987, s.349.
6. ks.St.Kowalczyk, Teologia wyzwolenia a Ewangelia, w: "Znaki czasu" nr 143, czerwiec 1985, s.6.
7. M.Szczepaniak, Eżewisko teologii wyzwolenia a walka klas, w: "Wyżli marksistowska" 3/85, s.149.
8. por. M.Szczepaniak, Teologia wyzwolenia - czyli walka klas pod znakiem krzyża, "Nowe Drogi" 3/85.
9. F.Houtart, E.Pin, op.cit.
10. R.Fenger, Strach przed wyzwoleniem, Tages Anzeiger, 14 stycznia 1984, cyt. za "K" 3/85, s.151.
11. F.Houtart, E.Pin, op. cit., s. 160, 155.
12. M.Szczepaniak, Eżewisko teologii wyzwolenia a walka klas, "K" 3/85, s.156.
13. por. Economic Survey of Latin America, 1968, New York, s.24 i następane, cyt. za "K" 3/85, s.156,157.
14. M.Szczepaniak, op. cit., s.158.
15. "Instrukcja o niektórych...", 1, w: Dokumenty nauki społecznej Kościoła, t.II.
16. op. cit., IV, 36, s.334.
17. op. cit., VII, 62, s.357-358.





Ekshumacja upiora

1. Demonologia polska w połowie lipca b.r. wzbogacona została dzięki wędrownemu po Uroczysku Wielki Bór /6 km od Gib w kierunku Rygola/ i nierozważnemu grzebaniu w Ziemi o nowego, wyjątkowo uciążliwego dla polskich władz upiora. Przypadkowo, choć jak wynika z wypowiedzi miejscowej ludności - nie całkiem - jeden z mieszkańców wsi Dworzysko odkrył na terenie lasu liczne szczątki ludzkie. Miało się to wrócić stać przyczynkiem do kreacyjnych zabiegów Jerzego Urbana, który z racji swej pozycji oraz wybitnej potencji intelektualnej - określił owe szczątki "po imieniu" - a de facto - wskrzesił do życia propagandowego nowego polskiego upiora - "Upiora z Gib".

* Odpowiedź na pytanie - "komu i czemu służy upiór z Gib" nie wymaga urbanego ilorazu inteligencji. Stworzone monstrum ma służyć jątrzeniu i godzeniu w pryncypia, rację stanu oraz dobrosąsiedzkie stosunki /zapewne z WRD/, jest ponadto poplecznikiem wrogich nam sił imperialistycznych dążących do destabilizacji systemu... Nasuwa się jednak wątpliwość, czy aby ów kosztmar nie jest koszmarem ludzkiej pamięci, jakim nitwygodnej dla oficjalnej dobrosąsiedzkości.

2. A zamiast ludzka i zdolność kojarzenia faktów łączy odnaleziony 25 czerwca b.r. zbiorowy grób z akcją pacyfikacyjną, jaką na terenie Śwalszyczyzny przeprowadziły między 12 a 26 lipca 1945 okupacyjne wojska sowieckie wespół z NKWD. Ludzie zamieszkali na tamtych terenach są skłonni widzieć w odkrytej mogile - szczątki swoich bliskich, których los jest po dziś dzień niezmany.

3. Stacjonarowo ocenia się, iż liczba ofiar pacyfikacji sięgać może tysiąca osób. Akcja pacyfikacyjna objęła ludność zamieszkałą na Równinie Aruntowskiej, m.in. wsie: Pogorzelec, Giby, Sejny, Daniłowce, Rygiel, Brzoci, Dworzysko, Mikaszówka, Siza, Zeczka, Żłobin, Lasanka, Lpelin, Trono, Gruski, Lipiny i in. Z poszczególnych miejscowości wymienione od kilkunastu do kilkudziesięciu inteligentów i bogatszych chłopów - prawdopodobnie również kobiety i dzieci - by - jak wynika z relacji niewielu pozostałych przy życiu świadków tamtych wydarzeń - "przeprowadzić przesłuchania". Nikt nie miał jednak złudzeń; uratowali się nieliczne osoby - pozostałych między 14 a 22 lipca 1945 wywieziono transportami samochodowymi. Mieszkańcy Gib widzieli taki, składający się z 11 samochodów transport jadący w stronę Rygola - i tu uszalił iśną się urywa. Rodziny osób wywiezionych już nigdy nie miały zobaczyć swych bliskich. Sowietci zamordowali wówczas także gajowego - którego podlegało Uroczysko Wielki Bór.

4. Wnioskując towarzyszące odkryciu kolejnych, zbiorowych mogił - w sumie opaleniowo trzy, z których tylko jedna zbadano dokładnie - wyraźnie depresyjną wplynęły na poczyny władz, które dopiero po paru dniach zdecydowały się na podjęcie jakichkolwiek czynności, mających na istocie na celu - ograniczenie dostępu najbardziej zainteresowanym w okolicy mogił - licząc na zachowanie odkrycia w tajemnicy. Dot. przed nieprawdopodobnym skłoniz miejscowych notabli do ograniczenia terenu i wywieśsenia odrępczej notatki zbraniającej pod

groźbą kary administracyjnej rozkopywania i przeprowadzania wszelkich prac przy odnalezionym grobie, notatki ostrzegającej, że naruszanie grobów będzie traktowane jako ich bezczeszczenie.

Zjawił się również wojewoda suwalski, kompletnie zdezorientowany zaistniałą sytuacją.

5. Napięcie wzrosło, gdy 15 lipca b.r. w godzinach rannych teren został obstawiony przez funkcjonariuszy MO i SB, przybył szef suwalskiego WUSW, p.k. Zawadzki, prokurator Monkiewicz z Białegostoku, dr Józwiak z Zakładu Medycyny Sądowej AMB. Olbrzymie zdenerwowanie i niepewność prowadzących prace przejawiały się atakiem na liczenie zgromadzoną okoliczną ludność i turystów, którym zarzucono szukanie taniej sensacji, "pornografii" - jak to ujął p.k. Zawadzki, zabroniono wykonywania zdjęć, wyciągano filmy z aparatów, spisywano dane personalne, numery rejestracyjne wszystkich samochodów.

Rozpoczęła się najbardziej żenująca część całej historii, już oficjalna, w majestacie prawa prowadzona ekshumacja. By lepiej zrozumieć jej przebieg, przytoczyć warto choćby szczerą definicję, która mówi, że ekshumacja to wydobycie pochowanych zwłok w celu przeniesienia w inne miejsce lub dokonania badań sądowo-lekarskich. Dodać należy, że obowiązują pewne zasady, których nie przestrzegano, lub trafniej to ujmując, żadne zasady podczas owego "procederu" prowadzonego przez specjalistów nie obowiązywały. Ekshumacja była tak naprawdę bezładnym grzebaniem w ziemi przypominającym raczej dziecięce szukanie skarbow niż prace mające na celu ustalenie zawartości mogił, określenie przypuszczalnego okresu, z którego pochodziły szczątki, przyczyn śmierci - a także, co najważniejsze - czy odnalezione szczątki mają jakiś związek z lipcową pacyfikacją 1945 roku - czy też...

Owego właśnie upiora obawiano się najbardziej i prawdopodobnie to, a nie pokretnie twierdzenie prokuratora Monkiewicza o spokoju i szacunku należnym zmarłym zdecydowało - o zaniechaniu prac na pozostałych dwóch mogiłach.

6. W jednym z dołów 27-metrowej długości, o szerokości 4 m, na głębokości mierzonej patykami - 1,2 m - odkryto 11 szkieletów, z których 2 miały kości rąk związane nad głową kablem telefonicznym, oraz liczne przedmioty znane doskonale m.in. z relacji prasowych i konferencji prasowej Urbana - oraz parę przedmiotów, których oficjalnie nie pokazano. Była to górna sztuczna szczeka, kołczyki, sygnet męski - najprawdopodobniej mosiężny posrebrzany, nożyczki oraz bardzo charakterystyczne binokle. Biorący udział w ekshumacji, uzbrojeni w liczne aparaty służbowy fotograf, spełniał funkcje raczej mistyfikująco-dekoracyjne, nie wykonując w istocie żadnych zdjęć dokumentujących położenie szkieletów oraz przedmiotów. Dodać należy, że podczas cozzyszczania szkieletu, którego rękę w nadgarstkach były związane nad głowę kablem telefonicznym, odtrącono na bok kości jednej z rąk /uznając najwyraźniej ów szczegół za nieistotny, bądź nie pasujący do koncepcji/ - naruszając tym samym pierwotne ułożenie resztek ludzkich ciał względem siebie - bez jakiegokolwiek dokumentacji - w postaci opisu lub szkicu - co w znacznym stopniu utrudniło precyzyjne określenie zarówno przyczyn śmierci i ułatwi zapewne dość dowolną interpretację czasu zdarzenia oraz nie pozwoliło na uzyskanie wiarygodnej

odpowiedzi na pytanie - do kogo odnalezione szczątki należą i przez kogo zostały pochowane.

7. Również bez dokładnych opisów wrzucono parę, niefrasobliwie wyrzanych kości, pochodzących z różnych miejsc grobu - do jednego pudła - i z wyrazem wielkiej ulgi i niemalże radości na twarzy płk. Zawadzki zapraszając zebranych wokół ludzi w bezpośrednią bliskość grobu, zachęcając do robienia zdjęć, wygłosił mowę, w której oświadczył, że na podstawie równego ułożenia zwłok, na wznak, w odległości ok. 1 m od siebie, w oparciu o odkopane niemieckie znaczki identyfikacyjne, guziki od mundurów, resztki oznaczeń formacji wojskowych /znaczek "trupiej główki" pochodzący z munduru SS/ oraz dziecienny bibelot w postaci czerwonego słonika - jest to ponad wszelką wątpliwość grób żołnierzy Wehrmachtu - lub jak kto woli, posługując się milszym dla ucha urbanowym określeniem - szczątki "nazistowskich trupów"... Nie warto zatem niemieckości odkrycia udowadniać po raz wtóry zajmując się kopaniem w pozostałych mogiłach. Zaniechano dalszych prac, zasypując pozostałe w ziemi szkielety, w poczuciu dobrze spełnionego - wobec niebezpiecznie bliskiego wschodniego sąsiada - obowiązku, grzebiąc tym samym upiornie niebezpieczne widmo "niewłaściwego" odkrycia.

Ale czy na pewno?

8. Rodzą się liczne wątpliwości, np. dlaczego żołnierze niemieccy, tak pieczołowicie i z szacunkiem pochowani, nie mieli ani butów, ani pasów, dlaczego ręce dwóch z nich były związane, skąd kołozyki u żołnierza, który zmarł rzekomo w szpitalu, dlaczego wreszcie znaleziono tylko dwa znaczki identyfikacyjne przy jedenastu szkieletach, dlaczego znaczek "trupiej główki" formacji SS znalazł się w grobie żołnierzy Wehrmachtu, co zawierał odnaleziony skrzany portfel itd. itd. ...

Pytania te pozostaną, jak sądzę, bez wiarygodnej odpowiedzi - wątpliwe zatem jest dalsze ich mnożenie...

9. Zastanawiać jedynie może fakt zastraszania miejscowej ludności przez służby bezpieczeństwa, przesłuchania - oraz "śmigłowcowe wniebowstąpienie" mieszkańca Dworczysek, który mogiły odkrył i kościelnego z Gib - po których to przysłano specjalnie z Warszawy śmigłowiec z obsługą komandosów... Czy władza nadal lęka się koszmarnego, ludzkiego pamiętania?

10. Miejscowa ludność, rodziny ofiar lipcowej pacyfikacji roku 45 - mimo zastraszania, w milczeniu stawiają sobie pytanie, gdzie pochowani zostali ich bliscy, bo jaki spotkał ich los - nie mają żadnej wątpliwości. Istnieje znaczne prawdopodobieństwo, że polana na Uroczysku Wielki Bór kryje tajemnicę zamordowanych Polaków, że to właśnie w pobliżu niemieckich, odkrytych dziś mogił - choć tego też należy dowieść - istnieje osoba, co dla władz polskich może się stać - już nie sztucznie spowodowanym i szybko zagrzebanym, ale prawdziwym upiorem z uroczyska, dla społeczeństwa zaś prawdziwie koszmarnym odkryciem.

A mieszkańcy okolicznych wsi, czują, że ich bliscy zamordowani przez sowieckiego okupanta, spoczywają gdzieś tu, w obrębie uroczyska...

Ciągle świeże kwiaty i żnicze wokół brzoszowego krzyża na mogile są wymownym dowodem pamięci, wyrazem szacunku dla ludzkich szczątków - nieistotne czy polskich, czy niemieckich - i zarazem pytaniem...

Na to najważniejsze pytanie nadejdzie wkrótce czas odpowiedzi...

Jacek Zaworski

Już po otrzymaniu powyższej relacji, do redakcji dotarły dwa dokumenty. Drukujemy je poniżej:

Suwałki, 2 08 1987

O Ś W I A D C Z E N I E

W lipcu 1945 roku na polskich ziemiach przywłaszczonych Suwalszczyzny, pomiędzy Piskarem z Bąbrówką, Białostocką wojskowe władze radzieckie przeprowadziły wśród ludności polskiej masową akcję zatrzymań. Objęła ona wiele setek osób. Zaliczono z domów wyjasnianie, za po sprawdzeniu dokumentów nastąpiła zwolnienie. Los tych ludzi nie jest do dziś znany - nikt z nich nie powrócił, ani nie stał znaku grobu. Podejmowane przez rodzinę próby poszukiwań nie dały rezultatów.

W lipcu 1987 roku na wroczysku Wielki Bór, przy drodze Wyszkałbity odkryto masowe groby. Wprowadziło to poruszenie w wielu rodzinach. Zapytany w dniu 21 lipca 1987 r. o los zaginionych ludności Suwalszczyzny rzecznik prasowy rzędu uchylił się od odpowiedzi.

Pragnąc dopomóc rodzinom w staraniach o powrót zaginionych lub ustalenie ich losu, w przekazaniu, że wyjątkowo, innych zmian w historii starożytności polsko-radzieckich leży w interesie obu krajów, powołujemy Obywatelski Komitet Poszukiwań Zaginionych w Lipcu 1945 roku.

Komitet będzie dążyć do ułożenia kompletnego listy zaginionych, ustalenia ich losu i umożliwienia powrotu do domów. Komitet będzie o pomoc w działaniu do władz PRL, ZSRR, Kościoła, Szwedzkiej Katedry, wyspecjalizowanych instytucji polskich i międzynarodowych oraz wszystkich ludzi dobrej woli.

Prosimy o przekazywanie informacji na ręce:

Piotra Bajera, 16-400 SUWAŁKI, ul. Reja 76 m.2, tel. 087-2

Hirosława Basiewicz, 16-509, POGORZLEC, wieś Białogóra

Stanisława Kowalczyka, 16-400 SUWAŁKI, ul. Skymancuskiego 6, 13

Obywatelski Komitet Poszukiwań
Zaginionych Suwalszczyzny
Zaginionych w Lipcu 1945 r.

I N F O R M A C J A nr 1

OWYATELSKIEGO KOMITETU POSZUKIWAŃ NIE SZKAŃCÓW
SUWAŁSZEZCZYNY ZAGINIONYCH W LIPCU 1945 r.

Publikujemy wstępną listę części osób, które zaginęły bez wieści po zabraniu przez funkcjonariuszy wojskowych władz radzieckich w celu sprawdzenia dokumentów w dniach 12-14 i 26 lipca 1945 r.:

BIAŁOGÓRY

Adaszko Zygmunt	Mullner Albin
Ciećlikowski Stanisław	Mullner Antoni
Naroińkiewicz Stanisław	Myszczyński Edmund
Gutowska Eronisława	Myszczyński Mieczysław
Mieczkowski Antoni	Myszczyński Witold
Mieczkowski Wincenty	Rapczyński Stanisław

DANIECOWCE

Bizicowski Antoni	Rupiński Józef
Czekajko Wiktoria	Rupiński Witold
Famiński Ludwik	Siderewicz Stanisław

Laskowski Stanisław	BIAŁOWIERSKIE
Laskowski Bronisław	Konopko Franciszek
Michalski Stanisław	Konopko Stanisław
Michalski Wincenty	Moroz Józef - ojciec
Przyrkowski Antoni	Moroz Józef - syn
Przyrkowski Franciszek	Paszkwicz Antoni
Węgrzynowicz Marian	Paszkwicz Franciszek

SURONC

Mullner Wacław	Flewiński
Mullner Bolesław	Rapczyński Franciszek
	Rewiński
	Świćcicki Dominik
	Świćcicki Szymon
	Świćcicki Wincenty

Następne INFORMACJE będą zawierały dalsze nazwiska oraz uzupełnienie danych.

W lipcu 1987 r. obiegła kraj wiadomość o znalezieniu zbiorowej mogiły na uroczysku Wielki Bór w Puszczy Augustowskiej przy drodze Giby - Rygol.

2 sierpnia powstał w Suwałkach Obywatelski Komitet Poszukiwań Mięskających Suwalszczyzny Zaginionych w lipcu 1945 r., którego przedstawicielami są Piotr Bajer, Mirosław Basiewicz i Stanisław Fowalczyk.

W interesie społecznym jest by władze udzieliły temu Komitetowi wszelkiej pomocy i włączyły jego przedstawicieli w skład komisji badającej sprawę. Powyższymi to w oczach opinii publicznej lokalnej i krajowej wyrażoność konkretnych ustaleń komisji. Wyrażamy nadzieję, że władze nie uciekną się do żadnych kroków uniemożliwiających działanie Komitetu ani do kroków represyjnych lecz przeciwnie, przychylić się do naszej opinii o potrzebie współpracy z Komitetem.

Jacek Bocheński
Marian Brandys
Andrzej Braun
Stanisław Brodzewski
Ernest Fryll
Zbigniew Fujała
Irena Gwala
Jerzy Dietl
Wanda Falkowska
Jacek Fiedorowicz
Stanisław Gajewski
Michał Głowicki
Zbigniew Janas
Krystyna Janda
Stanisław Jankowski
/Agaton/
Grzegorz Jaszuński
Franciszek Kamiński
Krystyna Kersten
Tadeusz Kłopotowski
Edward Kosiński
Michał Korar
Tadeusz Kozłowski
Maria Popoś
Alina Kowalczykówna
Janusz Krupski

Władysław Kucicki-Goldfinger
Zofia Kuratowska
Jan Józef Lipki
Jar Lityński
Stanisław Lorentz
Roman Lech
Zdzisław Łapiński
Jan Łomnicki
Alicja Maciejowska
Andrzej Mandaliar
Adam Michalik
Tadeusz Nawrocki
Irena Nowakowa
Aleksandra Okopień-Skawińska
Janusz Oryszkiewicz
Wojciech Oryszkiewicz
Jadwiga Puzynina
Maria Joanna Radomska
Zofia Romaszewska
Zbigniew Romaszewski
Jar Rosner
Janusz Spawinski
Zofia Stefanowska
Aniela Steinbergowa
Andrzej Stelmachowski
Janusz Szcotański

Ewa Tomaszewska
Witold Trzeciakowski
Wiktor Woroszyński
ks. Jan Zieja
Roman Zimand

WALKA CZY POROZUMIENIE ? (o języku propagandy)

Prof. Roykowski nieskalany sympatią dla demokratycznej opozycji pisał: "Język stanowi bardzo ważną podstawę klasyfikacji ludzi. Ci, którzy danego języka nie znają, którzy nie umieją się nim posługiwać, traktują mówiących nim jak obcych. Własny język wytwarzają także grupy rządzące. Język ten, jak każdy inny, służy nie tylko do opisu rzeczywistości, z którą dana grupa ma do czynienia, ale także do konsolidacji grupy. Pojęcia tego języka posiadają specyficzny sens w ramach treści znaczeniowej dzielonej przez grupę. Dla tych, którzy do niej nie należą, może brzmieć jak rytualne zaklęcie obcej religii. Grupy rządzące w Polsce, tak jak inne analogiczne, posiadają od dawna swój specyficzny język.

W ocenie odrębności tego języka nie powinien nas zwodzić fakt, iż jego słownictwo pochodzi z pewnego wspólnego zasobu. Ma on tak charakterystyczne cechy wyróżniające, że brzmi dla szeregowych członków społeczeństwa równie obco, jak język dawnych klas wyższych dla klas niższych i vice versa".

W Duszpasterstwie Środowisk Twórczych /kościół Najświętszej Panny Marii w Warszawie/ odbył się publiczny panel poświęcony współczesnemu językowi pt. "Język porozumienia, alienacji i agresji". W dyskusji wzięli udział: prof. J. Puzynina, prof. M. Głowiński, red. H. Izowiecki, J. Maciński i J. Fedorowicz. Oto obszernie fragmenty niektórych wystą-

wana jest jako jeden z wielu środków osiągnięcia celu, ale często staje się celem samym w sobie i w gruncie rzeczy nigdy nie można powiedzieć, że dla Komunistów czas walki skończy się. Posługując się nowowocą: jest to typ myślenia "rowerowego", to znaczy, jeśli nie nadepnie się na pedał walki, tym samym kończy się jazda, a rower przestaje wracać.

A mówiąc poważnie - w nowomowie nie można sformułować zdania: "nasza partia jest partią ugody", albo też nie do pomyślenia jest partyjna ugodowość czy partyjny kompromis, natomiast w każdym numerze "Trybuny Ludu" możemy spotkać sformułowanie o partyjnej bojowości lub "nasza partia jest partią walki".

Ktoś mógłby przypomnieć, że w 1981 r., w partyjnych gazetach pojawił się zwrot: "linia porozumienia", która wszakże zniknęła po 13 grudnia 1981, kiedy to linię skorygowano i przemianowano na "linię walki", nawiasem mówiąc jest to technika często stosowana, proszę sobie bowiem przypomnieć kiedy ostatni raz skłyszeliście państwo o demokracji bez epitetu "socjalistyczna". I moim zdaniem ta sama konstrukcja obejmuje pojęcia - linia walki i porozumienia. Bo we frazologii komunistycznej nie da się wyrazić takich pojęć, jak porozumienie czy ugoda. Charakterystyczny wydaje się przykład węgierski, kiedy to Kadar po przejściowym okresie po rewolucji węgierskiej nie mógł użyć słów o porozumieniu, gdyż popadłby w konflikt z doktryną. Usiłując użyć konstrukcji: "kto nie jest przeciw nam, jest z nami". Ale ta konstrukcja świadczyła wyraźnie, że oto jesteśmy my i oni i. Takiej granicy nie ma w słowie pojednanie, w tym natomiast przypadku walka nie wygasa, a jedynie przeciągamy "opornych" na swoją stronę i na ramie zadowolamy się tym, że "oni" nie przeszkadzają, nie są obecni. Na froncie walki.

Walka wynika z założeń światopoglądu komunistycznego, polega na warietyjskim widzeniu świata w kategoriach "my" i "wrog". Jest to dyktat czarno-biały, w którym nie ma miejsca na partnera, ra opozycję, która wprowadzałaby ten dwudzielny schemat. Dlatego też druga strona to zawsze element rozkładu, anarchii, to siły agentury i awanturnicy siedzący przy pełnych lodówkach i zaopatrzeni w dolary /w tym obrazie chodzi o wywołanie stanu emocjonalnego zawiści i niechęci wobec opozycji, nigdy natomiast nie dopuszcza się, iżby ci ludzie mieli służyć jakiejś szlachetnej idei/.

Skróco więc mamy do czynienia z agenturą - cenionymi, stosownie do tego obrazu, słowami będą: niezłomny, bojowy, pryncypialny, bezkompromisowy, stanowczy, bezlitosny. Proszę zwrócić uwagę, że jest to zestaw cech, który wyklucza postawy otwarte, pojednawcze, wyklucza prowadzenie rozmowy, natomiast zakłada ofensywne i agresywne nastawienie wobec drugiej strony - strony przeciwnika, a nie partnera. Ten język przypomina język III Rzeszy, i konsekwentnie, określenia wskazujące na postawy dialogowe, otwarte, refleksyjne są z reguły nacechowane ujemnie, co więcej, nawet neutralność jest grzechem.

Oto przykłady z "Trybuny Ludu": "prostych ludzi denerwowała i denerwuje przesadna troska o sprawiedliwość wobec naszych wrogów".

Proszę zwrócić uwagę, że nawet sprawiedliwość traktowana jest jako przeszkoda w zwalczaniu przeciwnika... Inny przykład: "nadmierna tolerancja wobec ludzi obrażonych na państwo może być rozumiana jako przejaw naszej słabości i ideowego rozmemkania" /także w TL/. Pomijając owo kolokwialne "rozmemkanie" nie licujące z frontem walki, mamy tu wyraz pełnej gotowości bojowej. I takie przykłady moglibyśmy mnożyć. Nie o to jednak idzie. Należałoby jedynie skonkludować, że nawiąski awansował do kategorii pojęcia politycznego, Zatem to co zdraża nam język propagandy nie powinno nas nastrajać optymistycznie co do dalszego dialogu czy zawarcia porozumienia.

Co prawda to słowo bywa używane, a nawet nadużywane w propagandzie, ale poddawane jest charakterystycznej obróbce semantycznej: po pierwsze nigdy nie mówi się kogo dotyczy porozumienie, czyli między kim a kim ma być zawarte, po wtóre - Zatarty został przedmiot porozumienia, a więc nie precyzuje się w jakiej sprawie miałoby ono być zawarte i kto z czego miałyby zrezygnować. W efekcie pozostaje pusty zwrot. I jeśli ma on jeszcze jakieś znaczenie, to zupełnie szczególnie, a ludzi nieczajną pominiętych z językiem komunistycznym, zaskakujące. Kianowicie, często używane jest ono w znaczeniu - ład, porządek, spokój społeczny. O tym, że te pojęcia niewiele mają wspólnego z porzuceniem stron, nie muszą państwa przekonywać.

Ale dlatego też nie mogę być optymistą. I gdybyśmy poważnie mówili o porozumieniu musimy pamiętać, że na przeszkodzie stoi ta właśnie matryca utrwalona w mentalności ludzi władzy, musimy pamiętać, że podstawowa przeszkoda nie jest brak racjonalnych argumentów, ale światopogląd i postawy psychiczne utrwalone i powielane przez schemat języka, o którym była mowa.

Michał Głowiński - Jedynie co mogę dodać do poprzedniej wypowiedzi, to tyle, że zarówno studiując prasę, jak i oglądając telewizję można wyodrębnić trzy style propagandy według kryterium stosunku do wroga, który w propagandzie jest postacią główną, nawet wtedy, gdy się o nim nie mówi wprost. Pozwólcie więc państwu, że na zakończenie przedstawię krótki wykład systematyzujący to, o czym na tym spotkaniu mówiono dotąd.

Pierwszym stylem jest styl kampanii. Proszę darować, że użyję sformułowania rodem z nowomowy i obowiązującego od lat pięćdziesiąt języka wojskowego; "rozciąga się linia frontu". Linia rozciąga się najdłużej jak można, propaganda zaczyna szaleć, a o wrogu mówi się wszystko i wbrew wszystkiemu z logiką na czele. Styl kampanii jest ostatnio stosowany doraźnie i w wypadkach "nagłej potrzeby wojennej", dominował w latach 1949-1955, 1968-1969, prawie nie istniał w latach 70-tych, teraz pojawia się okresowo /przed 13 grudnia 1981, bezpośrednio po 13 grudnia/.

Styl drugi, to styl dawania odporu, kiedy to wróg jest konkretną osobą /może to być na przykład Adam Michnik obchodzący czterdzieste urodziny/ i w tym przypadku wersja peerelowskiego personalizmu zastępuje dawnego wroga klasowego. Zamiast tamtego widma, mamy do czynienia z konkretnymi osobami, jak wyżej wspomniany, jak pan Wałęsa, Bujak itp. i są to konkretni wrogowie działający w ścisłych intencjach,

ale w enklawach i właściwie na marginesie zdrowego życia społecznego.

Do zdrowego społeczeństwa adresuje się styl normalizacji. Zakłada on wizję świata, w którym wszystko jest na swoim miejscu, a każdy pilnie wypełnia swoją rolę. Robotnicy robią, śpiewacy śpiewają, uczniowie uczą się, władza włada, a chłopcy - gdyby ten zwrot był w języku polskim dopuszczalny - chłopia. I jest to kanoniczna wersja świata doskonale pogodzonego. A więc ujawniają się w nim wartości takie, jak: spokój, ład, porządek, a w założeniu są to ideały, do których należy dążyć. Przy czym nie musi to być styl idylli zakładany w okresie gierkowskim, bowiem nie wyklucza spartykularyzowanej krytyki, ale krytyki, która nie kwestionuje systemu i nie tyka jego podstaw. Najdoskonalszy wyraz styl normalizacji osiągnął w okresie gierkowskim, ostatnio jego przykład można było obserwować od maja do września 1986 /uwiecznienie Zbigniewa Bujaka, zwolnienie więźniów politycznych/, kiedy nawet w "Trybunie Ludu", gdzie wrogowie są przedmiotem powieści w odcinkach, spadli oni na margines, występując niemal wyłącznie w felietonach Rema... Wraz z oswobodzeniem więźniów powrócił zaś styl odporu.

Cóż do tego dodać? Chyba tylko refleksję, że analiza wykazuje, jak dalece świat stworzony przez propagandę jest fikcyjnym i w jak ogromnym stopniu jest to propaganda reżyserowana.

opracowała E.S.

x x x

Rikt z uczestników panelu, gdyż wszyscy zajmowali się bądź analizowaniem, bądź tylko krytyką współczesnego języka propagandy, nie dał przykładu języka porozumienia. Nieoczekiwanie, w Antologii Polska myśli demokratyczna w ciągu wieków /opracowanie Manfreda Kridla, Władysława Kalinowskiego i Józefa Wittlina/ odnajduję stary tekst - Akt Konfederacji Warszawskiej z 1573 r., przykład języka porozumienia, który nie od rzeczy będzie zacytować:

"My Rady Koronne, Duchowne i Świeckie i Kycerstwo wszystko i Stany insze, jednej i nierozdzielnej Rzeczy Pospolitej, z Wielkiej i Małej Polski, Wielkiego Księstwa Litewskiego itd. i Miasta Koronne: ...A iż w Rzeczypospolitej naszej jest niezgoda niemała w sprawie religii chrześcijańskiej, zabiegając temu, aby się z tej przyczyny między ludźmi zamieszki wewnątrzne jakieś nie wszczęły, które po innych Królestwach jawnie widzimy, obiecujemy to sobie wspólnie, w imieniu własnym i naszych potomków, na wieki, przysięgając na wiarę, honor i sumienie nasze, którzy jesteśmy różni religią - pokój między sobą zachować, a dla różnej wiary i odmiany w kościelech krwi nie przelewać, ani się karać wzajemnie konfiskatą dóbr, pozbawieniem czei, więzieniem albo wygnaniem..."

E.S.

Homosos na placu przebudowy

Radziecką reformę można oglądać z różnych stron, zalicznie od tego, co przyjęcie się za istotę istniejącego tam systemu. Wybór stosownego punktu widzenia eksponuje coraz to inne problemy i trudności z jakimi przychodzi borykać się ekipie Gorbaczowa. Zachowawcza struktura władzy, rozległe počacie panowania korupcji, bezpieczniecko-wojskowy "beton" - to tylko nieliczne spośród przeszkód mogących unicestwić dzieło przebudowy. Nieprzypadkowo zatem na okładkach Zachodnich magazynów przedstawia się genseka-odnowiciela jako Hortuleza Zrywającego łańcuchy bądź uprzątającego stajnię Augiasza.

Wszystkie te spostrzeżenia, jakże atrakcyjne dla zmudzonego zachodniego czytelnika, upatrują istotę radzieckiego systemu i jego przebudowy w funkcjonowaniu struktur politycznych imperium. Przypisując im znane ze swego doświadczenia choroby: korupcję, protekcyjnizm itp., przechodzą do porządku nad kwestię zasadniczą - czy poza tym ustrój radziecki jest już w porządku? Propagandowy sukces Gorbaczowa polega na tym, że po raz kolejny potrafił przywrócić w skali międzynarodowej opinii publicznej wiarę w reformowalność systemu komunistycznego, tj. wprowadzenia do niego elementów demokratyczno-liberalnych. Spragnionemu pokójowi Zachodowi taka wiara jest ogromnie potrzebna.

Co zatem stanowi istotę "przebudowy"? Gorbaczow stwierdził w jednym ze swoich przemówień, że jest ona możliwa, ponieważ społeczeństwo radzieckie osiągnęło wystarczający poziom "kojrzalności politycznej". Otóż to. Człowiek radziecki jest kamieniem węgielnym manewru "przebudowy", przedstawienia w skali międzynarodowej, które ma doprowadzić do odzyskania zachwianej pozycji imperium.

Pouczającego przykładu w tej materii dostarcza literatura zachodnio-wschodnich w "Moskowskich Nowostiach" /"Pravda" nr 23/87/ wypowiedzi radzieckich historyków na temat tzw. "białych plan" w dziejach KPZR. Proponuję przeczytać ją w wersji wzbogaconej o komentarze Aleksandra Zinowiewa zaczerpnięte z książki "Home sovietism". Najpierw jednak naszkicujmy sytuację.

Dyskusja została sprowokowana artykułem Jurija Afanasjewa, rektora Moskiewskiego Instytutu Historyczno-Archywalnego. W odpowiedzi na ten tekst do redakcji nadszedł list czworga wykładowców historii KPZR z różnych uczelni Moskwy. Został on przez redakcję tygodnika opublikowany wraz z odpowiedzią J. Afanasjewa, który wcześniej się z nim zapoznał. Dyskutanci dzielą się według następującego wzoru: "czwórka" to zwolennicy "starego", Afanasjew - człowiek "piętnastolatki". A oto wybrane ważniejsze fragmenty ich dyskusji.

Czwórka: "W istocie rzeczy J. Afanasjew wpływ historyków do przewidziania koncepcji historiografów radzieckich, o które wprawdzie się, ukazując historyczną drogę narodu radzieckiego w ciągu 70 lat. Okazuje się, zdaniem autora, że nauka historyczna znajduje się w zastojach, co wpływa pod wieloma względami na ocenę jej stanu, w porówna-

niu do współczesnego poziomu światowego". O jaki poziom światowy chodzi? Czyż autor do tej pory nie zrozumiał przeciwstawnej pozycji metodologii marksistowskiej nauki historycznej wobec burżuazyjnej i nie znana mu jest leninowska zasada partyjności nauki?"

Afanasjew: "Rzeczywiście pora już wyjaśnić, o co w istocie chodzi, jaka ogromna odpowiedzialność spada dziś na świadomość, postawę obywatelską i działania społeczne każdego z nas. ... Na początek o stanie historycznej nauki partyjnej. Znajduje się ona w zastoju nie "zdaniami Afanasjewa" /podkr. moje - aw/ - ...jestem bowiem tylko jednym z tych, którzy podzielają poglądy wyrażone na wszechzwiązkowej naradzie specjalistów w zakresie nauk społecznych".

Zinowiew: "Największą stratą dla homososa jest oderwanie od kolektywu. Csobiście, prawie nie cierpię z powodu utraty krewnych i przyjaciół, moskiewskiego mieszkania, wygodnej sytuacji w pracy. Lecz dzień i noc nie daje mi spokoju to, że straciłem mój kolektyw. Nie idzie o moje ostatnie laboratorium, czy przedostatni instytut, ale o jakikolwiek nasz /mój/ kolektyw. Wiązanie się prawie we wszystkich ważnych i drobnych aspektach bytu w życie kolektywu, to podstawa naszej psychologii. Dusza homososa leży w jego zdolności włączenia się w życie kolektywu. Nawet wywołująca nasz protest ideologiczna obróbka z tego punktu widzenia wygląda inaczej, a mianowicie - jako błądki włączenia jednostki w życie kolektywne. Ideologią unifikuje indywidualną świadomość i jednoczy miliony małych "ja" w jedno ogromne "my".

Czwórka: "Przebudowa to nie niszczenie lecz tworzenie, wchodzenie na nowe piętra nauki historycznej. Na tej drodze czerpiemy wszystko, co najlepsze w historiografii KPZR i ZSRR. I jest o czerpać."

Afanasjew: "Tworzenie - tak. Ale nie na pustkowiu... to, co cenne, sprawdzone, mające perspektywę winno stać się oporą i warunkiem, inne zaś rzeczy winny być odrzucone jak balast i hamulec w wyzwaniu możliwości socjalizmu. ... Dwa lata temu kwietniowe plenium KC KPZR po raz pierwszy nakreśliło historyczną szansę. Dlatego też nie zmarnujemy jej, bo nie mamy prawa zmarnować. ... Po tysiącokroć na rację Gorbaczowa..."

Zinowiew: "Ky, ludzie radzieccy, nauczeni jesteście do wszystkiego podchodzić twórczo... pouczający przypadek miał miejsce w tak zwanej Szkole Leninowskiej, gdzie kształcą się naszych szpiegów, przewodniczących rozmaitych partii komunistycznych i przyszłych prораdзических urzędników państwowych w krajach zachodnich. Jeden ze skłębaczy, chcąc przypodobać się naszemu przywództwu, potraktował poważnie wezwanie do twórczego podejścia i zaczął pleść takie koszałki-opałki, że już chciało zamknąć szkołę, jako siedlisko eurokomunizmu. Ten zachodni komunista, choć był komunistą, pozostawał człowiekiem Zachodu i jako taki istoty twórczego podejścia nie rozumiał. Najpóźniejszym orężem walki z buntownikami w społeczeństwie jest wykluczenie ich z kolektywów. Wyrzuceni z normalnych kolektywów, okazują się niezdolni do stworzenia trwałych, zastępczych kolektywów i to nie tyle z powodu zakazów i represji ze strony władz, ile z powodu braku warunków dla zwykłego kolektywnego życia".

Czwórka: "Energiją wiedzy historycznej należy kierować na rewolucyjną przebudowę wszystkich stron życia i historii społeczeństwa radzieckiego, na wpańanie młodzieży odpowiedzialności historycznej i dumy ze swojej ojczyzny, z jej bohaterskiej historii i dnia dzisiejszego. Niestety, artykuł J. Afanasjewa nie służy tym celom, a czytelnika zagranicznego, tym bardziej znającego historię KPZR i ZSRR może tylko dezorientować".

Afanasjew: "Jest rzeczą zrozumiałą, że od uświadomienia sobie w porę przeszłości, od dzisiejszej samoświadomości zależy w dużej mierze to, co stanie się jutro z naszym i światowym socjalizmem. Dlatego też nie będnę ukrywał, że w liście grupy historyków partii najważniejsze jest dla mnie wyrażone z całą oczywistością pryncypialne odrzucenie przebudowy".

Zinowiew: "Parę lat temu w Moskwie w okolicach Kremla stałe dyżurował pewien pracownik ambasady jednego z państw zachodnich. Do jego obowiązków należało obserwowanie rządowych limuzyn, które wjeżdżały i wyjeżdżały z Kremla. Specjaliści od kremloginologii opracowywali na Zachodzie dostarczane przez niego informacje i dochodzili do głębokich uogólnień na temat polityki Kremla. Tymczasem specjalny pracownik KGB montował tę "lipę" na użytek zachodniego obserwatora, niarawicie programował jący to "brzoźnicowie", "szukowcwie", "grupacowie" i inni członkowie radzieckiego kierownictwa, w jakim czasie i w jakiej kolejności mają na Kreml wjeżdżać lub wyjeżdżać. Pracownik KGB śmiał się do nich, opowiadając o swoich manipulacjach z "kierownictwem". Pewnego razu wysłał na Krem trzech "brzoźniców", a wypuścił stamtąd pięciu. Ciekawe, jak rozwiążali tę zagadkę zachodni kremloginolodzy?"

Czyżby więc "przebudowa" je reżyserowany spektakl? A właściwie, czemu by nie?...

Warto bowiem pamiętać, że Związek słuźna linia partii nieraz już w historii ZSRR podlegała takim ołomnym zwrotom. Istotną cechą mentalności homo sovieticus - homo sovietica radzieckiego jest wyjątkowa wycęza giętkość, dzięki której może on nadać za zmianami polityki partii. Gorbaczow jest pierwszym, który po długim zastęju spowodowanym przez Breźniewa, świadomie wykorzystuje tę cechę swojego społeczeństwa w politycznej grze. Dlatego może odwykły od gimnastyki ideowej homo sovieticus prezentuje otok zręcowego kolektywistycznego podejścia, niejakie zagubienie i zamieszanie, co dowodnie - jak nazwijemy - ukazał podreżuszowany nieć dialog historyków.

/aw/

Stragany na peronie

Powód, dla którego postanowiłem ustosunkować się do artykułu "Lalum polelum" jest właściwie tylko jeden. Zdałem sobie bowiem sprawę, że Wasz kwartalnik mogą również przeczytać osoby nie orientujące się w problematyce poruszanej w tym artykule, że może trafić do młodzieży, która "Solidarność" odbiera już jako historię. Gdyby w ludziach tych pozostał właśnie tak naszkicowany obraz lat 1980-87 w naszym regionie, byłoby to poważnym błędem. Poza tym "Lalum polelum" jest wypełniony tyłoma przekręceniami /ały nie powiedziedź fałszerstwami/ i tyle w nim oskarżeń /choć iaz właściwszym słowem, którego należałoby użyć jest chyba "oszczerstwo"/, że już ten fakt odbiera chęć jakiegokolwiek rzeczowej polemiki. Zaznaczam, że nie reprezentuję ani władz regionalnych, ani żadnych innych struktur związkowych. Wypowiadam się wyłącznie jako osoba prywatna, którą w jakiś sposób los związał z historią NSZZ "Solidarność" Region Białystok.

Zacznę zatem od analizy pierwszej części artykułu, w której autor usiłuje przedstawić sytuację w regionie. IBD Zwyczajnie demonizuje rolę władzy, wyjątkowo, jego zdaniem, srogą w Białymstoku i surowszą niż w innych miastach kraju. Gdyby autor orientował się w sytuacji w innych regionach Polski, wiedziałaby, że Białostoczczyzna nie jest niczym wyjątkowym. Fakt obłożenia przez kolegium trzech osób groźnami za to, że posługiwały się emblematami "Solidarności", świadczy jedynie o tym, że wykonuje się wytyczne całego państwa. Podobne przypadki są "chlebem powszednim" całego Związku, a przecież, znane są również fakty skazywania z powodów o wiele cięższych. Władza nie różni się tutaj niczym. Równie ciężka jest także w innych województwach.

"Solidarność powstała tu auto podobnie jak gdzie indziej" - pisze autor. To znaczy gdzie? - w Gdańsku, Szczecinie, Jastrzębiu, Trzebnem, Wrocławiu. Na pewno, ale czy znova tak dużo później. Pierwszy KKK ukonstytuował się już 12 września, co oznacza, że niektórzy organizacje zakładowe powstały wcześniej, najprawdopodobniej w pierwszych dniach tego miesiąca. Przedstawiciel Białegostoku uczestniczył w rozprawie rejestracyjnej Związku. Czy rzeczywiście byliście tak bardzo zacofani w stosunku do innych regionów? Czy też mamy wstyżić się tego, że nie byliśmy pierwsi? IBD jakby zupełnie nie rozumiał tego o czym pisze. Przecież nawet w Szczecinie w pewnym momencie postanowiono przerwać strajk, zadowolając się osiągniętymi ustępstwami, w których nie było mowy o niezależnych związkach zawodowych. Gdyby nie postawa Stoczni Gdańskiej, a może nawet przybyłych tam ekspertów, to nie mówilibyśmy dzisiaj o NSZZ "S". Zresztą nie miejsce tutaj na przedstawianie historii Związku, chociaż taki wykład autorowi artykułu na pewno by się przydał. Druga część wyżej cytowanego zdania brzmi: "...powstała pod przymusem nie hycia w tyle, zwłaszcza jeżeli chodziło o oczekiwane profity materialne". Dla historyków ru-

chu robotniczego to stwierdzenie stanie się zapewne podstawą do zrewidowania swoich twierdzeń. "Przymus nie bycia w tyle" jako podstawa tworzenia Związku Zawodowego jest jednak odczytaniem dużej miary.

Gdyby chodziło tutaj jeszcze o czysto ekonomiczne podłoże, pół biedy, ale nie, IED wyraźnie mówi o "profitach". Być może autor o tym nie wie, ale to wyrażenie ma w języku polskim wyraźnie pejoratywne zabarwienie. Oczekiwane profity to przecież nie to samo co domaganie się podwyżki płac. Natomiast w zestawieniu ze zdaniem następnym: "Od początku poprzetykana była konfidantami i pełna różnej maści karierowiczów, co przyniosło fatalne skutki już przed Grudniem, a po Grudniu spowodowało generalną kłapę" - pojęcie to nabiera wreszcie pożądane go efektu. "Różnej maści karierowicze" i "oczekiwane profity materialne" - niezorientowanym przypomina, że IED wcale nie pisze o PZPR, charakteryzuje tak podłoże, na którym powstała w naszym regionie "Solidarność". Działaczy związkowych przed tego typu oszczerstwami nie będą bronić, ponieważ nie jestem do tego upoważniony. Została sama próba jakiegokolwiek usprawiedliwienia się w obliczu jawnego szkalowania wydaje się być poniżej ludzkiej godności. Natomiast wypada wystąpić w obronie szeregowego członka Związku, który chociaż nie został oczerniony, to jednak postąpiono go o głębsze i otwarcie. Wybory do władz związkowych różnych szczebli odbywały się w sposób demokratyczny i uczestniczyły w nich dziesiątki tysięcy osób. Wybrano tych, których chciała większość. Jeżeli IED twierdzi, że zaufanie tych ludzi zdobyli konfidanci i karierowicze, że jednocześnie posiadają te tysiące o zbiorcu "kłopotu".

Co ma na myśli autor pisząc o "fatalnych skutkach już przed Grudniem"? - doprawdy trudno zgadnąć. Posądkanie jednak działaczy, a może nawet całego Związku do "generalnej kłapy po Grudniu" to wnoszenie pretensji o to, że w Regionie Białystok nie został odwołany żaden wypadek, a dziełni pomowy nie padli na kolana na widok strajkujących robotników. Autorowi trzeba najwyraźniej przypomnieć, że ZZOŚ nigdzie, nawet na chwilę, nie przysięgło. Równie dobrze IED mógłby swoje pretensje zanosić do Komisji Krajowej. Dlaczego tak się stało? - to już zupełnie inna sprawa i temat na osobny artykuł. Natomiast jeżeli autorowi żal tego, iż w białostockich zakładach pracy nie poleła się krew... to najwyraźniej popełnił błąd.

Gdy próbuje się przedstawiać obecną sytuację w regionie, wysuwając przy tym różnego rodzaju zarzuty, trzeba jednocześnie porównać ją z sytuacją w innych częściach kraju. Należy powiedzieć również, jakie działania podjęte gdzie indziej spowodowały zachowanie w miarę silnej pozycji Związku. IED oczywiście tego nie robi. Albo nie wie jak jest w innych, porównywalnych do naszego regionu, albo tak jest mu po prostu wygodniej. Gdyby chociaż przez chwilę też tym się zastanowił, to musiałby dojść do wniosku, że w większości przypadków jest podobnie. Tak zwane potężne regiony wyróżnia jedynie o wiele bardziej rozwinięty ruch wydawniczy i znane nazwiska, nadal firmujące Związek. Zaręczam autorowi, że w tym przypadku może mi wierzyć. Dociekam przyczyn istniejącego stanu to także temat na osobny artykuł. Zaręczam również, że w Białymstoku podziemie realizowane w miarę swoich możliwości wyliczne TTV. Zarzuty wysuwane przeciwko

organizatorom manifestacji, które zwoływane były, wg autora, w celu "policozenia się w kupie", uważam za zupełnie bezpodstawne. Ludzie wychodzą na ulicę w zamiarze zaprotestowania przeciwko czemuś lub komuś oraz zamianifestowania swojej postawy. Nawet ci, którzy biorą udział w rządowych pochodach także w jakiś sposób udzielają poparcia oficjalnemu stanowisku władz. IBD twierdzi, że zabrakło innych "form masowej działalności". Znam tylko dwie naprawdę masowe formy protestu /chyba o tego rodzaju działalność tutaj chodzi/ :manifestacja i strajk. Jak wiadomo strajki nie udawały się w całej Polsce. Co więc pozostało? Gdyby autor zechciał wyjaśnić jakie inne formy masowego protestu ma na myśli, byłbym niezmiernie wdzięczny.

W zasadzie większość swoich zarzutów IBD mógłby tym razem kierować pod adresem TKK. Istnieją jednak pewne wyjątki. Według autora winę za powstanie ogólnego chaosu ponoszą następujące czynniki /wymieniam tylko te, które wg mnie odnoszą się do Białoostoczczyzny/: "brak talentów organizacyjnych" itp. oraz "dezinformacja uprawiana w Biuletynie Informacyjnym Regionu". Jeżeli chodzi o zarzut pierwszy, to IBE sugeruje, że organizowaniem działalności podziemnej kierują osoby niekompetentne. Być może, sprawdzić tego nie jestem w stanie. Pytanie, gdzie był wtedy autor, uważam również za poniżające. Ale być może IBD zna osoby, które mogłyby sprawnie pokierować działalnością Związku, a jeśli tak, niech chociaż postara się odpowiedzieć dlaczego tego nie czynią? Dlaczego nie tworzą sprawniej, podziemnej organizacji? Może odsuwa ich od tego jakaś mafia? Zarzut drugi - gdyby jeszcze autor napisał o pojawianiu się w "Biuletynie" błędnych informacji, byłbym w stanie to zrozumieć. Ocz, przy tego rodzaju działalności może i to się przytrafić. Ale gdzie tam... IBD twierdzi, że w piśmie uprawia się dezinformację. Mało tego, powoduje to ogólny chaos w Związku. Jak nie redakcja BI uprawia sabotaż. W normalnym społeczeństwie można w takiej sytuacji wystąpić z oskarżeniem o potwarz. Jeśli autora do wyłączenia tego rodzaju wniosków natchnęła błędna notatka w "Biuletynie" na temat kolegów w sprawie łapskiej /zresztą sprostowana w kolejnym numerze/, należy tylko współczuć, ponieważ wynika z tego, że uległ on historycznej atmosferze wytwarzanej przez kilku niezrównoważonych osobników.

I wreszcie zarzut najpoważniejszy, a może tylko najbardziej oszczerczy. "Nikommu się specjalnie do zwycięstwa nie spieszy - lepiej może przedtem coś dorobić na boku jak wszyscy /.../" - stwierdza IBD. Szanowny autorze, pociąg z napisem "zwycięstwo" odjechał już dosyć dawno. Bardziej przewidujący zdali sobie tego już w 1983 r., inni w rok później. Panu /pani/ wydaje się być może, że jeszcze tym pociągiem jedziemy. Otóż nie, zostaliśmy na peronie i nie słychać już nawet gwizdu lokomotywy. Pociąg jest to, że na tym peronie nie pozostaliśmy sami, bowiem władza również nie "załapała" się na ten pociąg. Czekamy na następny. Taka jest sytuacja. Chodzi teraz o to, żeby ten peron jakoś przygotować na wjazd kolejnego składu wagonów. Jakos go uporządkować, przygotować się, przede wszystkim duchowo. Chodzi o to, żeby ten kolejny pociąg najpierw w ogóle się zatrzymał, a potem nie można już, być może w walce na lokcie, dać się "wykolegować", jak mawiał L.Wałęsa, władzy w przepychance do prze-

działów pierwszej klasy. Pan /pani/ zarzuca natomiast działaczom związkowego podziemia w Regionie Białystok, że nie dość, iż pieszc, z wywieszonymi językami za pociągami, którego dogonić się nie da, nie biegną, to jeszcze na peronie postawili sobie stragany, żeby "coś dorobić na boku". A może jeszcze niektórzy z nich wybiegli do przodu, aby na torach zbudować barykady? Może uda się zatrzymać następny pociąg w szczerym polu, może nie dojedzie? Oóż na to wszystko można odpowiedzieć? Zapewnić autora, że "sytuacja peronowa" przedstawia się dokładnie tak samo w całym kraju, że te wszystkie przez IED krytykowane działania mają na celu "porządkowanie peronu", że żadna z działających w konspiracji osób nie zainstalowała sobie straganu i nikt w regionie nie buduje barykad wstrzymując przyjazd pociągu - to wydaje się bez sensu. Nie uwierzy? Na taki sposób myślenia, ukierunkowany przede wszystkim na wietrzenie intryg, po prostu nie ma rady. IED pisze również o rozbiściu całego ruchu "na grupy i grupki często przeszkadzające sobie nawzajem". Z czego to wynika? Odpowiem - z intrygowania, bo jak inaczej nazwać próbę wprowadzenia podziału między Duszpasterstwem Ludzi Pracy a "Solidarnością". Czy kiedykolwiek Związek w Białymstoku podszywał się pod osiągnięcia "Duszpasterstwa"? Nie. Dlaczego więc autor w ogóle o tym pisze i w taki właśnie sposób traktuje problem nieistniejący? Pozostawiam to pytanie bez odpowiedzi.

Redakcji "Bez Debitu" życzę w przyszłości powodzenia, a przede wszystkim szczęśliwszej ręki w wyborze artykułów. Nie można bowiem wszystkim tłumaczyć otwartością pióra na wszelkiego rodzaju poglądy. Zawsze następuje przecież jakaś selekcja materiału. Najbardziej demokratyczna np. pisma literackiego nie wydrukują kompletniej grafomanii, tak samo jak kolegium redakcyjne surowie niezależnego periodyku społecznoego nie przepuści idiotycznych gadur. Trzeba przede wszystkim dbać o swoje dobre imię, nawet jeśli ukryte jest ono pod pseudonimem.

Wszystkiego dobrego!

bin

Mój stragan

Ponieważ zarzucono mi szereg oszczerstw i fałszerstw cniuję się w obowiązku wyjaśnić w kilku słowach nieporozumienie, do jakiego moim zdaniem doszło.

Jak to często w życiu bywa, mój krótki felieton poruszył nie tych, którzy się byli poruszyć powinni. Zamieszczony w tym artykule krytyczny pisany jest z pozycji i z punktu widzenia wiecznie czynnej i zaangażowanej elity. Tej elity, która przyjmując na siebie większość obowiązków i stanowię najbardziej wartościową etycznie grupę tzw. opozycji, przyjmuje też do siebie wszelkie kierowane pod adresem jejże zarzuty.

Tymczasem ja próbuję pisać o rzeczach, o tych wieloletnich, tych

mach zrzeszonych niegdys w organizacjach zakladowych. I gdziez sie one podzialy? Czy nie byly zbyt malo swiadome tego, co sie wlasnie dzieje? Czy nie okazaly sie zbyt chwiejne, malo odporne na przeciwnosci losu i sprzeczne idee, ktorymi ich zalewano? Czy wreszcie nie oddzialywaly na nie strach, zniechecenie, zmeczenie i pogarszajaca sie sytuacja materialna?

Tekst bedacy proba spojrzecia na sytuacje ogolna bardziej z boku wywoluje ostrza krytyke reprezentujaca stanowisko grupy wiodacej. Czy to nie jest stanowisko znamienne?

Chociaz nalezy sie spodziewac, ze ci, ktorzy odeszli, powieccili sie sprawom prywatnym lub sa dzis pejni wahań co do wyboru dalszej drogi postepowania - ci wlasnie nie odpowiedza. Im sprawy te w duzym stopniu zotojetniały. Jednak kategoryczne negowanie pewnych zjawisk moze byc dowodem malo realnych i coraz wyraźniej nijsajacych sie z rzeczywistoscia postaw przedstawicieli grup najbardziej zaangazowanych.

Trudny okres posierpniowy kuczacy mnogość pilnych do zakatwienia spraw z nieslychaną masowoscia ruchu zwiazkowego przyniesl nie tylko osiagniecia, ale tez szereg zjawisk negatywnych pojawiajacych sie zawsze wraz z poruszeniem tłumów. Nie bylo zbyt wiele czasu aby zjawiska te usuwad i porzadkowac, totez niewatpliwie rowniez i one wywarly spory wplyw na postawy szeregowych czlonków Związku po Grudniu.

Byl to jeden z powodów, dla ktorých sytuacja w Regionie nie przedstawia sie w stanie wojennym różowo /nota bene nigdzie nie piszę, ze w innych czesciach kraju jest duzo lepiej lub lepiej. Nie piszę, bo wychodzę z zakłczenia, ze to żaden argument przeciwko temu, żeby u nas nie moglo byc lepiej niż jest/. Natomiast co do miejscowej władzy, powódzcie, ze majac do tego rozliczne podstawy, pozostane przy własnym zdaniu.

Wyjaśnić pragne tylko nieporozumienie na temat zbiorowych form dzialalności pomylonych wyraźnie z formami protestu. Mnie nie chodzi o protestownictwo /co tez dobre, ale w miare - jak wszystko/, lecz o takie formy jak mnożące sie grupy samokształceniowe, szeroki ruch czytelnictwy, organizacje zwiazkowe w licznych zakladach /dysponujace sporymi sumami wkładów/, kasy Zapomogowo-pożyczkowe i ubezpieczeniowe, grupy organizujace sie w celu osiagnicia moze małych, ale możliwych dzis do osiagniecia celów, szeroki ruch samopomocy, inspirowanie różnorodnych form samorzadności czy dzialalności ekonomicznej.

Z tych ostatnich można by sie chyba spodziewac profitów /czyli wg dostępných słowników języka polskiego zysków i korzyści/, które moglyby wreszcie umożliwić w miare sprawny przebieg wielu pożyczanych, a nadal niestety nielegalnych przedsięwzięć, z niezależnym ruchem wydawniczym na czele.

Kończąc wspomnę jeszcze tylko o zwycięstwie. Otóż wiele formułowanych już w stanie wojennym programów i wypowiedzi zakładało pracę rozłożoną na lata i chociaż odsuwalo to wizję zwycięstwa w niezbyt skomercyzowaną przyszłość, nie usuwalo jej z pola widzenia, czyniaco to zwycięstwo ostatecznym celem wszystkich dążeń. Sprawa aktualną w chwili obecnej pozostaje natomiast zwycięstwo moralne, które jak twierdzą niektórzy, stało się faktem. Nie bez powodu też, podnosząc

palce ułożone w solidarnościowy przeciw Znak Victorii, wraz z innymi o zwycięstwie myślę i po części w nie wierzę.

IED

O szukaniu dziury w całym

- "- Baco, co robicie, kiedy macie czas?
- Siedzę i myślę.
- A kiedy nie macie czasu?
- A, to tylko siedzę..."

Sezon urlopowy sprzyja siedzeniu i myśleniu, przychodzi pora na snucie refleksji nad tematami, które w innych okolicznościach przestałyby może niepauczone. Ponieważ moje rozmyślania związane są bezpośrednio z dosyć obszernym, fanieszczonym w 1 numerze "kwartalnika nieregularnego" BEB DEFITU, tekstem "Społeczeństwo infantylne", pozwoliliam sobie przebieć je na papier. Chybaże widzieliście i inne głosy na ten temat, sądzę bowiem, że opinii w tej kwestii może być tyle, ilu czytelników.

Czy "społeczeństwo infantylne"? Już o terminach zawartym w tytule artykułu Ewy Łaskiej trudno się zgodzić. Jeżeli przyjąlibyśmy to określenie do naszego słownictwa, to równie dobrze moglibyśmy mówić o infantylnej ludzkości. Prawda jest jednak, że coraz częściej spotykam się z opiniami ludzi, którzy sami o sobie mają przekonanie, iż reprezentują pewien "poziom", że właśnie jesteśmy świadkami infantylizacji społeczeństwa /nie tylko polskiego/. Wzrost uwarunkowany tą burzą mózgow wywołaną przez reżimowe wysoki stopień "ogłębialności" niezapomnianego serialu o niewłaściwej krasce. Ilek to powoływał autorytetów z dziedziny socjologii, filozofii, kulturoznawstwa i innych nauk społecznych zastanawiało się przed kamerami telewizyjnymi i na łamach prasy /nie tylko społeczno-kulturalnej, organy PISZ też zajęły się tym problemem/, co mogło spowodować taki "upadek" społeczeństwa, dlaczego film, spełniający wszelkie warunki liczą zrealizacji taką rzeszę odbiorców. Wówczas, kiedy toczyła się ta dyskusja, cała sprawa raczej mnie bawiła. I pewnie wcale bym się nie tym problemem nie zastanawiała, gdyby nie tenże Ewy Łaskiej. Wydaje mi się bowiem, że moment, w którym ten trafił na łamy prasy niezależnej, jest sygnałem, że cała sprawa nabiera innego wymiaru.

W swoich kontaktach z ludźmi z kręgów intelektualno-opozycyjnych zaczęłam zauważać pewne charakterystyczne zjawisko, którego gęstość, jak mi się zdaje, należy szukać w okresie stary wojennego, a konkretnie - bojkotu TV, państwowych galerii i innych instytucji kultu-

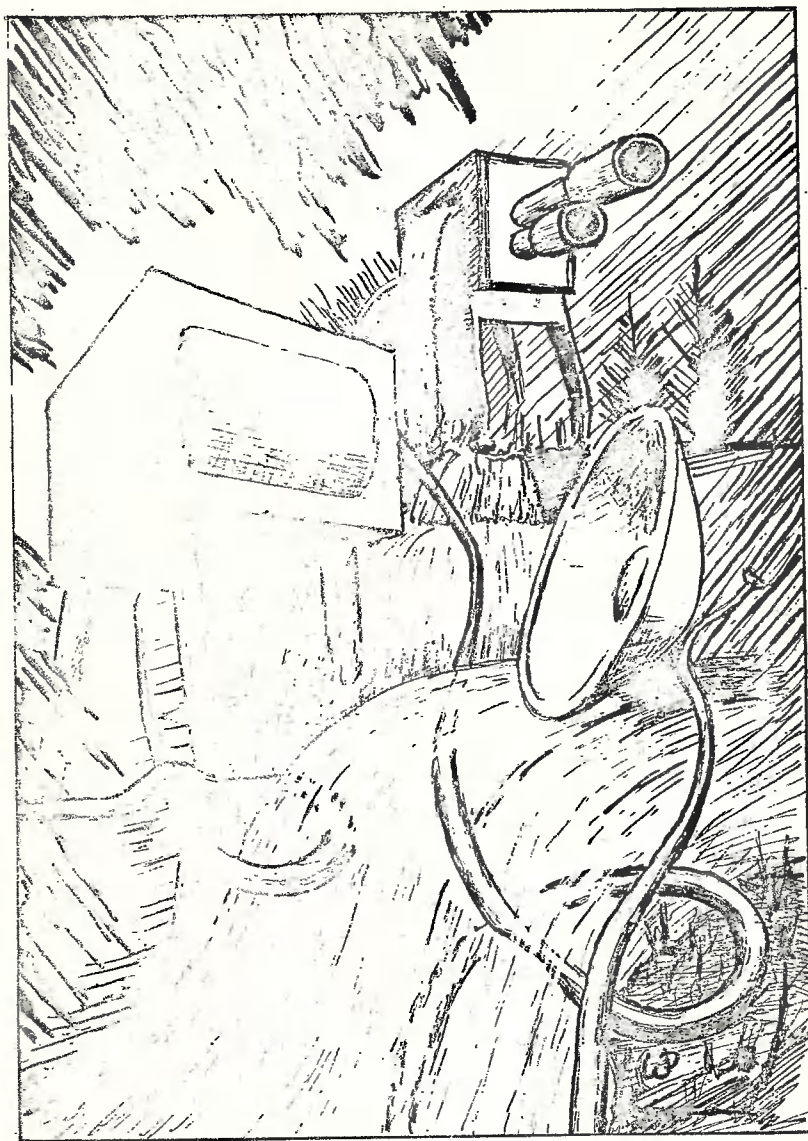
ralnych przez polskich artystów. Otóż wtedy właśnie wielu moich znajomych i przyjaciół ogłosiło się jako zagorzali wrogowie wszelkiej rozrywki "lekkiej, łatwej i przyjemnej". Popadli w swoisty rodzaj ascetyzmu kulturalnej. Można zrozumieć taką postawę w odniesieniu do tamtego okresu, można w ogóle zrozumieć to, że ktoś nie przepada za takim modelem kultury. Nie można natomiast przejść do porządku dziennego wobec faktu, że ludzie ci, a przynajmniej liczni ich reprezentanci, uważają swoją postawę za jedyne słuszną. Z uśmiechem wyższości patrzą na parweniwszy śledzących kolejne odcinki seriali telewizyjnych czy zabijających się o bilety na kasowy film. Dziwi mnie ze wszech miar, że ludzie, którzy chcieliby niejednokrotnie stanowić pewną wyrocznię w sprawach dobrego, tzw. wyrobionego smaku, nie potrafią zrozumieć, że naprawdę nie ma żadnego szczególnego powodu, dla którego teraz, w końcu XX wieku miałyby nastąpić jakieś zasadnicze zmiany w pewnych mechanizmach rządzących społeczeństwami na całym świecie od zarania dziejów. Od wieków, niezależnie od systemów politycznych, lud w swej przeważającej masie preferował rozrywkę, łatwą, nieskomplikowaną, nie wymagającą od odbiorcy wielkiego wysiłku wyszkolenego. Wędrujące po Europie trupy aktorskie wystawiające proste, schematyczne scenki z życia wzięte, kuglarze z tresowanymi niedźwiedziami, zastępy linoskoków i połykaczy ognia, a w czasach nam bliższych - produkcja licznych oficyn wydawniczych specjalizujących się w upowszechnianiu literatury romansowej, sensacyjnej, najczęściej brukowej - oto obraz dawnej rozrywki masowej. Ci, którzy nie mieli do niej dostępu zadawali się baśniami i legendami przekazywanymi z pokolenia na pokolenie - o Zjawach, strzygach, Zbójcu Waleju, wawolskim smoku czy głupim Jasiu. Nieliczna, bardzo cłobarna grupa czytywała Petrarke, dzieła Erazma z Rotterdamu czy choćby "przygodowego" Defoe. W świetle tego więc - to naje społeczeństwo, to cała ludzkość jest i - najprawdopodobniej - będzie "infantylna". I nic tu nie pomogą żadne apele do twórców czy próby wtarcenia pewnego modelu kultury. Argumentem do tego rodzaju działań byłoby często przypuszczenie, że społeczeństwo przez wiele lat celowe i z premedytacją ogłupiane przez zalew mało ambitnej produkcji kulturalno-rozrywkowej, nie będzie umiało ani chciało, w razie potrzeby, sprostać zadaniom wymagającym pewnego heroizmu, wyrzeczeń, silnej woli, poczucia własnej godności. Do niedławej przeszłości należy okres, kiedy to - z innych wprowadzić pozycji - padały te same hasła. Mało tego - były wprowadzane w czyn. W imię wychowania społeczeństwa silnego, zwartego i gotowego ukuto wzorzec "ambitnej", "słusznej" kultury - literatura, muzyka, kino, nawet taniec - musiały zawierać odpowiednie treści ubrane w odpowiednią formę. I tak w radie słyszało się słuszną i skoczną piosenczkę "Gdzie idziesz Wojtek - do miasta, panie..." na zmianę z ambitną "Kłną po szynach niebieskie trawusie...", na ławach prasy literackiej ambitne traktory zdobywały wiosną, kinomani pasjonowali się "Przygodą na Mariensztacie", a na licznych festynach ku czci i z okazji naród budujący krajinę najwyższej szczęśliwości bawił się w rytm kujawiaczków, oberków, polczek i walca "Na skopkach Pandzurii". Wylicznka ta ma na celu

uświadczenie niektórym, do czego może doprowadzić zbytnia ingerencja w tak swą kulturę masową. Nigdy nie osiągnie się sytuacji, która dla wszystkich byłaby zadowalająca. Zawsze się znajdzie odczucie niedostateczności, który będzie się domagał jakichś tam westernów czy jazzu.

Dzisiejsi poprawiacze naszej telewizyjno-estradowo-kinowej rzeczywistości obrażają się zapewne za takie porównanie. Ja jednakże dziękuję Opatrzności, że ludzie ci nie mają możliwości realizowania swych idei. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby byli oni władni zaprowadzić porządek w naszej kulturze. Telewizja, kino, teatr - stałyby się miejscami, w których zatroskany obywatel przeżywa jeszcze bardziej ponure problemy nekające bohaterów oglądanych filmów czy spektakli i dożywłwa psychicznie do ich rozwiązania. Dopiero by NOKA miała pole do popisu - poświęcnie wydawane video-kasety z wykładami produkcyjną kina "komercyjnego" szłyby jak woda.

W każdym systemie każda ingerencja w tak z natury rzeczy swobodną i nie dającą się zamknąć w określonych ramach zjawisko jakim jest kultura masowa, musi przynieść co najmniej tragi-komiczne efekty. Jeżeli ktoś przeczytając myśli, że społeczeństwo nasze niedocenia, że jest celowo ogłupiane - niech nie szuka apatery na "lekką, łatwą i przyjemną" produkcję komercyjną; każdym społeczeństwie można sterować - w złym i dobrym znaczeniu tego słowa. A więc - burzenie, nęcejący nad fatalny stan naszej kultury i poziomu intelektualnej odbiorców - wystąpiła z propozycjami alternatywnymi! Powie ktoś, że przecież od dobrych paru lat coś takiego właśnie się robi. Tak, rzeczywistość, odgrywają się różne imprezy kulturalne pod egidą Festiwa, Kin-ów. Czy jest to jednak alternatywa dla popularnej, masowej rozrywki? Tego-odgrywanie spektakle, montażu teatralno-muzyczne - to nie jest to, co mogłoby osiągnąć skutki sprzed ekranów telewizyjnych, na których starci Stefania walony z kochankami. Po prostu, przynajmniej w tej dziedzinie należy ludzior ponownie prawo wolnego wyboru. A że wybór ten może się niektórym wydać infantylny - cóż zrobić - tak być, jest i będzie. W związku z tym uważam, że problem "społeczeństwa infantylnego" jest problemem sztucznym, wymyślanym. A jeśli chodzi o gotowość tego społeczeństwa do czynu w razie potrzeby - to już jest temat całkiem inny, nie mający z powyższymi rozważaniami ścisłego związku, co historia, również ta najnowsza, dobitnie chyba udowodniła.

1984





Białoruś?, Białoruś?

Scenka rodzajowa, jaką uważny obserwator z łatwością odnajdzie w dniu codziennym Białegostoku:

Dworzec autobusowy. Kolejka do kas sprzedających bilety w kierunku tzw. "ściany wschodniej" - do Gródka, Hajnówki, pobliskiego Zabłudowa itd. Objęzione torbami z zakupami wiejskie - na co niedwuznacznie wskazuje strój - kobiety rozmawiają między sobą po białorusku, choć zdaje się w odmianie nie całkiem przystającej do tej, którą posługiwali się w swoich poematach Janek Kupęła. Zauważywszy, że ktoś z boku wpatruje się w im przysłuchuje kobiety milną, by po chwili przejść na język polski.

I obrazek drugi. Po latach niewidzenia odwiedza kolegę ze studiów. Przed laty koledzy domniemywali czasem, że skoro pochodzi z tamtych stron, nazwisko ma takie jakie ma, to zapewne jest... Odświeżył się od tego jak tylko potrafił. Dziś, z jakimś zdumieniem, stwierdza, że w jego domu /założył rodzinę/ mówi się po białorusku.

Sokrat Janowicz mówiąc o sobie wspomina, że kiedyś także był "złym, etnicznym" Białorusinem. Dziś jest arcybiałoruski, aż do bólu, a najlepszy dowód tego mamy w naszych księgarniach - jego "Białoruś, Białoruś" pisaną w latach 1980-81, a teraz wydana przez Iskry.

Książka to do innych nie podobna. Określa ją Janowicz jako gawędę o sześciu wiekach wspólnego losu Polaków i Białorusinów. Wędrówka po dziejach jest więcej niż nieuporządkowana. Tylko jeden motyw jest stały: poszukiwanie korzeni białoruskości, wypuklenie teje nacji.

Czas, wg określenia Janowicza, starobiałoruskie, można by z pewnością śmiało śmiało w omawianiu tej książki. Zawodowemu historykowi włos się tu musi jęczyć co chwila. Wszystko stąd, że dla autora Białoruś istnieje już od początku średniowiecza. Cóż, można zrozumieć jego dążenie do poszukiwania korzeni, choć nie od rzeczy byłoby przypomnieć, że dla owych czasów adekwatniejsze jest określenie "ruski". Nie w tym złego ani wstydlivego, że dopiero z tego rdzenia wyszły narody: rosyjski, później ukraiński i najpóźniej białoruski. Młodszy przecież nie znaczy gorszy.

Należał Janowicz swojej książce formę gawędy, a więc formę nie zorientowaną do spójnego wywodu. Rzecz jednak w tym, że wyraźna jest tu wewnętrzna sprzeczność. Z jednej strony autor za wszelką cenę udowadnia siłę i spójność białoruskiego nacjonalizmu stawiając go w opozycji do polskości, z drugiej zaś strony boleje nad "niedorozwojem narodowym" Białorusinów i kompleksem wyższości kultury polskiej. Sprzeczność to oczywiście pozorna.

Książka w znacznej swojej części poświęcona jest poszukiwaniom wpływów białoruskich na kulturę polską i takiegoż rodowodu wielu jej twórców. Spierać się oczywiście nie warto, choć w wielu wypadkach dowody Janowicza wydają się - najogólniej mówiąc - naciągane.

Przed laty zwizczając galerię w Wilnie napotkałem XVII-wieczny portret sarmaty w kontuszku podpisany: wojewoda Oginskas. Dla Janowicz

cza to oczywiście Kłuski. Kłuski wszczynają o imię pana wojewodę oczywiście nie warto, choć dowód na dużo wcześniejszą polonizację jego rodu /zagodną i dotkrowolną/ byłby, zżęje się, prosty. Wszystkim trzeba przyznać ich część prawdy, tyle że w nieco szerszym, kulturowym wymiarze.

Przy całej swojej hiperbiakoruskości jest Sokrat Janowicz bardzo polskim Białorusinem. Najlepszy na to dowód to niewybredne częste ataki na tę ciaczącą, zawsze polskości. Obrazy wyniesione, jak twierdzi, z dzieciństwa, że Polak to alfons o wypielęgnowanych rączkach, a Białorusin to chłop spracowanymi dłońmi tworzący swój bochen chleba przeraża. Przeraża nie tyle może swoją ordynarnością, co głębią "kompleksu polskiego".

Bia odmiary niewiele u Janowicza "kompleksu rosyjskiego". Jak długo mówi o Kociu carstwie, młody przykłada brutalnego tyrania i nieuznawania białoruskości. okres międzywojenny to już niemal wyłącznie potępienie polskiego kolonizatorstwa /nieścisły często, zwłaszcza w odniesieniu do rządów samogójnych, niesadziwione/. Drugiemu wielkiemu "bratu" Białorusinów wiele niechodzi na sucho. Wiadć w dziejowości za użykami nie naniactwi umiarowi w postaci BSKR. Wprowadzie sądzony w Polsce za komunizację i białoruski nacjonalizm Bronisław Taraszkiewicz zostaje rozstrzelany w ZSRR jako "polski szpieg", a wieszcz Janka Kupała popełnia w Moskwie samobójstwo, to utartym tropem można by złożyć to na kartę "kłamców i wypaczeń".

I wreszcie opisy podróży Janowicza na radziecką Białoruć. Idylliczne wyprawy z towarzyszeniem po pierwsze do starych kurhanów i ruin zamków, bractwań i cysteryt, a po drugie do starych miast. A przecież jest to tylko kawałek tematów. Czy jest tożsamość BSKR realizacja marzeń Białorusinów, czy taka ma być realizacja wielkiego snu Sokrata Janowicza? Śmiewać się. Nie trzeba być tak tak często jak nasz autor, ry dostrzec, jak małe Białorusin jest ta republika. Cóż, są w Białorusi tabliczka informująca o siedzibach ministerstw BSKR, są inne nieważne symbole odrębności, ale jednocześni w miastach, na ulicy królują grupy rosyjskie. Lewicowa Białoruska, należałoby chyba powiedzieć, pracownicy kolonizatorów, podtrzymuje swoją rozważność - zgodna, ale jakże często tylko do czasu pójścia do szkół, wyjazdu do miasta, awansu. Słowem, ostrożnie, ale jednak należałoby dostrzec zagrożenie białoruskiej odrębności. I fantazja BSKR w takim kontekście nie jest warta miejsca BSKR w ONR, o czym z niej nie ma, czy chociażby wspomina Janowicz. Wielce poważająca - sędzi - byłaby wypowiedźka do polskiej Litewskiej BSKR. Imię mniejszy, od lat planowo zalewaną wielkoruski przybywami, a przecież odrębność, litewskość po prostu się czuje w powietrzu.

Czym jest historia Sokrata Janowicza? - myślę, że mocno rozpaczyliwym krzykiem nacjonalizmu białoruskiego. Krzyk zaś ma to do siebie, że może przynosić ulgę, lecz niewiele niesie w sobie treści. Szkoda, że podjęty temat wziętego przemianowania się i inspirowania naszych kultur mógłby stać się znakomitą podłożem dla przemyślenia o tym narodzie. Kłuski stać się - zgodzając i polonizację - przyszedł do stania porównania z coraz wyraźniej zazyskującą się.

w naszym regionie inteligencją białoruską. Strona polska również w tym braku dialogu ma swój udział: stereotyp historycznego przykładu i kulturowa "alergia" na białoruskość są niemal powszechnie obowiązujące. Problem w tym, że odbywające się na naszych oczach krystalizowanie się inteligencji białoruskiej szuka swojej pożywki w przepłatających się wątkach żalów i wrogości wobec Polaków. Skąd się to bierze - odgadnąć niestrużno. Odpowiedzi udziela, choć zupełnie inny był jego zamiar, autor: nie w pełni zakończone wyodrębnianie się narodowe Białorusinów i podświadomy kompleks "wyższości" kultury polskiej, poczucie zagrożenia tkanki narodowej, przełożone na język codzienności oznacza trwającą ciągle, bez żadnego przymusu polonizację uczęszczającej do szkół czy przenoszącej się do miast młodzieży.

Mimo wszystko, polski czytelnik "Białorusi, Białorusi" znajdzie dla Sokrata Janowicza wiele sympatii. "Błądny rycerz" pechowego narodu musi znaleźć szacunek nawet u oponenta. Chociażby za to, że przegromiła nam, jak wielka jeszcze pozostała do zasypiania.

Jan Kichła

Sokrat Janowicz, Białoruś, Białoruś, Iskry, Warszawa 1987.

Białoruś - odzyskiwanie pamięci

Książka, o której chciałbym napisać kilka słów, wywołała już i wywoła jeszcze sporo polemik. To co ukaże się w formie pisanej będzie tylko wierzchołkiem góry lodowej. Czytelnik pozabiałostocki czyta te słowa zapewne z pewnym zdumieniem, uważając "problem białoruski" za marginalny, a stanowisko Sokrata Janowicza za egzotyczne. Zupełnie niesłusznie. Żywość z jaką środowiska białostockie zareagowały na tę książkę jest tylko w małej części rozdymaniem problemu, właściwym prowincji. Żywość ta wynika oczywiście z obecności Białorusinów na tych terenach i z aktualności prawdziwych i wymyślonych konfliktów. Ta żywość jest też znakomitym przykładem zachwiania pewnych wier wartości. Książka bowiem została odebrana jako przejaw białoruskiego szowinizmu. A większości ten termin kojarzy się z pomysłami przyłączenia Białostockiego do JSRR i innymi brzydkimi rzeczami. I tym wszystkim dedykuję następujące zdanie ze wstępu, autorstwa Janowicza: "Więc w tym pisaniu swoim celowo orientowałem się na podstawowy zestaw informacji kulturalno-historycznych, które posiada przeciętnie wykształcony mieszkaniec wczorajszej i dzisiejszej Polski. W tym oczywiście sporo zamierzonej polemiki mojej z poglądami, którymi żyje dom i ulica w naszym kraju"/podkr. moje - KES/.

Czy z czytelniozego punktu widzenia udało się ten zarysek Janowi-

czowi zrealizować? Pierwsze reakcje na tę książkę świadczą - że nie bardzo. Przyczyny nierozumienia tkwią, moim zdaniem po obu stronach. Zarówno w doborze i sposobie prezentacji faktów wybranych przez Janowicza jak i niechęci "przeciętnie wykształconego Polaka" do weryfikowania zdobytej w szkole wiedzy na ten temat. Wiedza ta zaś ma to do siebie, że nie pozostawia wiele miejsca dla narodów żyjących między Rosją a Polską. Ale to już zbyt rozległy temat, by go w tym miejscu rozwijać.

Nie ta sprawa decyduje jednak o wartości tej książki. To niechęć nikogo nie zmieni esejistyczno-gawędziarski jej charakter. Jest to suma wieloletnich poszukiwań, doświadczeń i przemyśleń jej autora. Suma, która ważna jest nie tylko dla Polaków ale i dla mieszkających w Polsce dzisiejszej Białorusinów. Nie wiew zrzęta, dla kogo ważniejsza.

Jej głównym walorem jest próba zakreślenia granic mitów, kultur, kulturowych, geograficznych i politycznych składających się na tradycję białoruską. Ta tradycja istnieje w książce Janowicza na dwóch płaszczyznach: zobiektywizowanego opisu i autorskiej interpretacji. Te dwa punkty widzenia często się pokrywają, ale nie brakuje też autorskiego dystansu - śmiechu, ironii, sarkazmu literackiego.

Białoruś w widzeniu Janowicza istnieje jakby poza czasem - w Lustrze pamięci. Dlatego tak wiele ciekawych refleksji dotyczy kultury. A zwłaszcza wzajemnego przenikania się kultury polskiej i białoruskiej. Ścisłej mówiąc jest to opowieść o zawiązanej umiłości Białorusinów do Polaków. Rozczarowania Janowicza są tym boleśnieszysze, że miłość była ogromna. Zapatrzzenie w polską kulturę prowadziło najczęściej do polonizacji lub kompleksów, które odzwierciedla się chociaż jeszcze dzisiaj. Interpretacja wzajemnych związków jest wyostrowana, jednostronna i często niesprawiedliwa. Najwięcej dotyczy się Polaków za 20 lat niepodległości. Szczerogłowa polemika z poglądami na ten okres zawartymi w książce Janowicza wydaje się bezcelowa. Zwłaszcza, że formułowane tam zarzuty są w większości uzasadnione. Nie do końca wszakże. To, co najbardziej drażni, to używanie przez Janowicza "klasowego wytrycha" do analizy zagadnień politycznych. Dużo w tym moralizatorstwa i dopasowywania sytuacji do idealnych wzorców. /Spadek z tradycji polskiej? Jest tu także przykład pewnej logiki, która napawa smutkiem. O ile rozwój białoruskiego nacjonalizmu Janowicz jest skłonny sprzyjać sytuacji geopolitycznej, o tyle Polakom nie może tego wybaczyć. A polski nacjonalizm także posiada i posiada swoje ważne uzasadnienia. Aby jednak oddać sprawiedliwość Janowiczowi, trzeba też ocenić takie zdania: "Przetwarzam w myślach to, co usłyszałem, a dzięki czemu sobie ja zdajem sobie sprawę z tego, co poprzednie było raczej tworem intencji: etos przedwojennej Zachodniej Białorusi coraz wyraźniej nasyca substancją kulturalną republiki" /s.154/.

Jeśli chodzi o ocenę faktów politycznych, jest to jedna z najbardziej karkołomnych książek cytowanych. Brak aluzji i nawiązań do rzeczywistych warunków rozwoju życia narodowego Białorusinów z ZSRR /vide: los Bronisława Turczanowicza/ znajduje ref-

leksje w rodzaju: "W atmosferze wyzwolenia narodowego, zmniejszonego polityczną odrębnością BSRR..." /sic! /s.154/, albo: "Karta białoruska zyskała na mocy dzięki stanowczości samego Lenina - /.../ to on wymusił na bolszewickim KC poważny stosunek do tej sprawy, pójdzie na rękę temu narodowi, który dopiero stawiał się sobą przypominając /.../ drzewo o boleśnie skrzyconych gałęziach i listowiu objędnym przez żarłoczne bydłeta. Pozwólmy mu wydać nowe pędy..." itd. Czy praca nad białoruską świadomością narodową będzie miała sens, gdy do jej określenia używać się będzie ordynarnej /przepraszam za wyrażenie/ nowomowy? To pytanie stawiam Panu pod rozwagę. Rozumiem przy tym, że o okolicznościach rodzenia się państwowego bytu Białorusi nie da się zbyt dużo napisać. Skoro jednak "z naukową drobiazgowością rozszyfrowano bluff polityki narodowościowej Piłsudskiego" to zwoli uzupełnienia godzi się wspomnieć o podobnych analizach dotyczących tejże polityki Lenina i jego następcy. A swoją drogą, czy "głównie polityczno-militarnej, gdy w decydujących latach 1917-19 nie istniały praktycznie żadne stałe punkty oparcia, jakkolwiek inny wybór byłby lepszy? A inna droga do 1939? Ludność białoruska weszła w skład II Rzeczypospolitej ze sporym bagażem antypolskich i probolszewickich nastawień, ukształtowanych zanim zdążyły "narozrabiać" polskie oddziały. Syndrom antypolski? Niewątpliwie. I niewątpliwie przez Polaków zawiniony. Tylko zbyt wiele tu jeszcze niewiadomych by wygłaszać jednoznaczne opinie.

Książka Sokrata Janowicza stawia ten problem zbyt partykularnie i nie przybliża nas niestety do rozjaśnienia tej "smugi cienia". Na usprawiedliwienie Janowicza można by dodać, że nikomu się to jeszcze nie udało. Może dlatego, że procesy wtedy rozpoczęte w tej części Europy nie weszły jeszcze w fazę schyłkową.

Jasną jedną informację podaną przez Janowicza chciałbym sprostować, która, nie przecząc, rozdrażniła mnie mocno swą jawną manipulacją. Na str. 171 znajduje się następujący akapit:

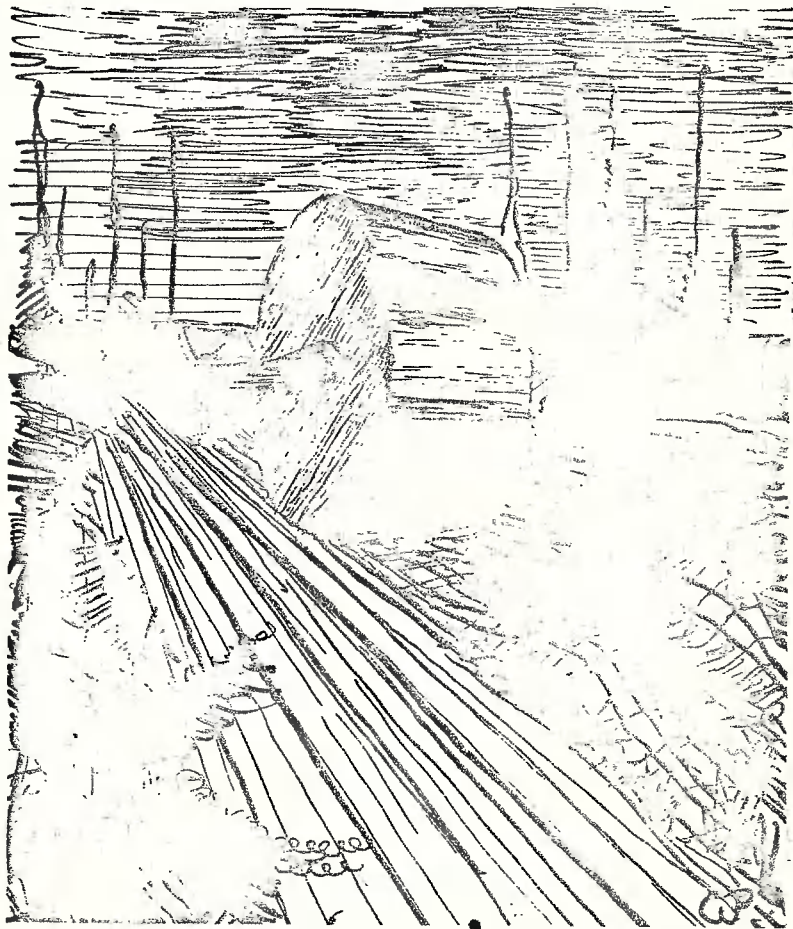
"Prapoczątków trwale zorganizowanej emancypacji narodowej Białorusinów dziejopisarze dopatrują się około 1896 roku, zrodziły się one w zbiorowisku młodzieży krajowej studiującej w Petersburgu. Dane na ten temat czerpano między innymi ze wspomnień Wacława Iwanuskiego /Wacław Iwanowski, w okresie międzywojennym profesor Politechniki Warszawskiej. Jego zaś brat Tadeusz, jak to u nas /podkr. moje - PFS/ bywa, wyróżnił na wielkość kowieńskiej potem Litwy/ Tyle Janowicz. Tymczasem Wacław miał jeszcze starszego brata Jerzego, działacza PFS, późniejszego ministra w rządach RP. Językiem domowym był język polski. Etnicznej przynależności braci Iwanowskich nie rozstrzyga także pochodzenie rodziców; matką - Jadwigą von Reichel - spod Sieradza, ojciec urodzony w powiecie lidzkim.

I tak niestety skomplikowane lidzkie wybory zostały zastąpione formułą "tak to u nas bywa". Szkoda.

Szkoda w ogóle, że roztrząsania układów politycznych jest w tej sprawie tak dużo i jednocześnie za mało, by można było wyjść poza formuły, wnioski i sentymentalne zarzekania. Do nowoczesnej świadomości narodowej bardzo daleko z tego miejsca.

Pewnie! z tego powodu bardzo mało jest w tej książce Janowicza - pisarza. Jest Janowicz-historyk, Janowicz-archiwista, Janowicz-dziennikarz, Janowicz - poszukujący/swej białoruskiej tożsamości - zabrakło pisarza, który w formie intelektualnego dyskursu potrafiłby napęknąć białoruską tradycję żywymi treściami. Nie jest to zarzut, bo można przecież sięgnąć po utwory literackie, raczej niedosyt wynikający z oczekiwania pewnej syntezy sygnalizowanej przez tytuł. Kultura białoruska jest tu zbyt jednostronnie oświetlona przez klasowe i narodowościowe kompleksy, które owsem różnicują, ale nie stanowią wystarczającego zaplecza, by odnaleźć godność we własnym obliczu. Bo jeśli nawet białoruska kultura "szuka" w wyniku niesprzyjających okoliczności, to zadaniem pisarza jest ujawnić zapoznane dotąd pokłady.

Ta próba, moim zdaniem, Janowiczowi się nie udało. Co następuje?



Mały poradnik amerykański. Cz.3

"Wczasowicze" vs "wakacjusze". Wiemy już, kogo społeczność polsko-amerykańska ironicznie tak nazywa: prawdziwych bądź "przyszywanych" krewniaków z Polski przyjeżdżających do Stanów żeby trochę zarobić... i z uciulanymi "zielonymi" wracających do kraju. Określenie upowszechniło się zwłaszcza po wydaniu "Wakacjuszki" Zofii Mierzyńskiej, prawdziwego bestselleru na polonijnym rynku wydawniczym sprzed lat kilku. Powieść ta, na pewno nie najwyższego lotu, bo pisana pod gust specyficznego odbiorcy - jest fabularyzowanym nit-pamiętnikiem polskiej chłopi. rzucanej w realia polskiego Chicago. Rzecz, jako się rzekło, dosyć płytka, ale przecież pokazująca sporo z tych wysnionych "saksów". Brutalne zderzenie się dwóch światów: wieśniaczki z Polski gorzej niż powiatowej i półświatka polskiego, zaharowujących się "wczasowiczów", emaniaków - Polaczków. Prawdziwych "amerykańskich" Stanów tam niewiele, tak jak drapacze chmur są tylko tłem dla polskiego Jackowa.

Drugą, sprawom tym poświęconą książką jest "Dolorado" Edwarda Redlińskiego. Rzecz na pewno bardziej profesjonalnie napisana, ale jednocześnie dużo gorsza, Pisał ją Redliński zaledwie po kilku miesiącach pobytu w Stanach i - czego nie ukrywał - z powodów doraźnie zarobkowych. Dużo bardziej interesujący był chyba skandal towarzysko-finansowy. /"Dolorado" napisał Redliński jako monodram dla aktora Tułeczki z krakowskiej "Pivnicy pod Baranami", lecz spodziewanych wywidów od przedstawień na terenie USA i Kanady nie otrzymał/.

Są więc już "wakacjusze" stałym i istotnym elementem polskiej Ameryki, skoro znaleźli nawet swoje miejsce w literaturze. Osiedlają z reguły w "polskich" dzielnicach: w Chicago na Jackowie i Kilwounee, w Nowym Jorku na Greenpoint, w Hartford, New Britain, Detroit i setkach innych polskich punkcików na mapie ogromnej Ameryki, czasem poza nimi. Jak mieszkają? - różnie. Zdarza się, znajdują kątek przy rodzinie /raczej rzadko i z reguły odpłatnie/, czasem w kilku - kilkoro, żeby było taniej, wynajmują przyzwoite, kilkupokojowe mieszkania. Najczęściej jednak, wszystko po to, żeby było taniej, mieszkają w paszudnych dzielnicach i w ciasnych kłitkach. Z "pomocą" przychodzą najczęściej Polonusi na stałe osiedli w Stanach, właściciele domów. Zdarzyło mi się kiedyś odwiedzić znajomego na Long Island pod Nowym Jorkiem. Dom-pensjonat, w którym mieszkał - właścicielką była wiekowa lecz obojętna pani Maria - został przebudowany tak, że od piwnicy aż po strych wypełniały go maleńkie pokoiki. To samo uczyniono z garażem. W pokoiku mieściły się dwa łóżka i dwie szafeczki /walizka już musiała być pod łóżkiem/. Łazienka wspólna na korytarzu i do tego salon-świetlica z telewizorem i wspólna kuchnia. Za to cena była dosyć umiarkowana - 40 dolarów tygodniowo. Pani Maria nie ograniczała się tylko do wynajmowania mieszkań. Załatwiała pracę /pierwsza tygodniówka dla niej/, za odpowiednią opłatą mogła się postarać o kartę social security albo o zaproszenie dla żony, brata itd.

Sam też, przez kilka miesięcy, mieszkalem w podobnych warunkach. We czterech wynajmowaliśmy trzypokojowe mieszkanie u wkurliwego Ukraińca. Gospodarza interesowała jedynie terminowość opłacania czynszu i cisza po 22. Lokatorzy różni, jeden w wolnych chwilach tego pił, jeden zawzięcie - choć bez widocznych rezultatów - uczył się angielskiego, jeden ciągle spał, jedynie z przerwą na pracę. Przewadziliśmy wspólną kuchnię. Na ścianie wisiał grafik Zajęć kuchennych i sprzątanania /często nieprzestrzegany/. Wyposażenie mieszkania było przedziwną zbieraniną: wywracający się stół i solidne, skórą obite fotele, ciągle psujący się telewizor /naprawiany przez "Spiccha", z zawodu murarza/ i wywodząca się ze stu chyba kompletów zastawa stołowa. Itd., itp. Cały ten "majątek" był przez lata "organizowany" przez "wakacjuszy" i przechodził wraz z lokum na kolejnych użytkowników. Jak upływało życie w tym gronie nietrudno sobie wyobrazić. Rozmowy były raczej krótkie i dosadne. Na dłuższe pogaduszki był czas w sobotę po zrealizowaniu w banku tygodniowego oczeku. Wtedy pojawiał się motyw powrotu i tego, jak to teraz będzie z forszą w kieszeni...

O oszczędności, czy raczej skąpstwie naszych dorabiających się na Zachodzie, słyszałem nie raz i śmiał twierdzić, że wiele jest przesady w tym, jak to wcinają psie konserwy, grzebią w śmietniku itp. Oczywiście, że w większości starają się żyć skromnie, tylko, że wraz z upływem czasu ta skromność zaczyna co innego znaczyć. Na początku "wczasowicz" rzeczwiście wszystko przelecia na krótko. Kiedy kończą mu się ekstra mocne myśli o rzuceniu palenia, bez potrzeby nie jedzą autobusem czy metrom, w supermarkecie długie wady w rękę puszkę piwa. Potem czas jednak robi swoje i nasz rodak normalnieje. Z dwoma wyjątkami wszakże. Pierwszy wyjątek to tzw. dafingrosz organiczny, który do końca będzie się żywił jagłami i kurczakami, bo są najtańsze. Pytanie zresztą, jaki w tym udział mają rodziny bez przerwy monitujące o ciuchy, dolarowe przekazy, wpłaty na samochody, traktory, rozrzutniki do nawozu itd., itp. Drugi wyjątek to urodzony utracjusz. Szybko zapomina, po co wybrał się za "wielką wodę" i z dala od żony, męża, rozpoczyna wesołe życie. Nic przeciwko temu nie można by mieć, gdyby nie to, że dla wielu naszych rodaków największą radość w życiu sprawia picie wodeczki. Bez przerwy i bez umiaru.

Bywa, że wczasowicze łączą się w pary. Małżonkowie daleko, czas przytarł nieco tęsknotę, a krew przecież nie woda. Zresztą samemu ciężko. Tak rodzą się sezonowe małżeństwa, często bardzo przykładne. W niedzielę idą pod rękę do kościoła. Razem robią zakupy. Ona wybiera bieliznę dla jego krajowej żony, on przymierza kurtkę dla męża, bo akurat figurą ma podobną... Potem niesie obie paczki do agencji wysyłkowej. Nie, drodzy państwo, nie potępiajmy hurtem tych związków, dopókiśmy sami nie spróbowali kilkuletnich "saków".

Nowa ustawa imigracyjna. Jak już kiedyś napomknąłem "nielegalnych" w Stanach jest trochę. Amerykanie już dawno stracili rachubę. Dziś wiadomo jedynie, że chodzi o kilka milionów przybyszów. Polacy są więc zaledwie marginalną grupką. Dominują Latynosi. Z bacną prze-

prowadzonych przez amerykańskie władze imigracyjne wynikało np., że co czwarty zatrudniony w wielkim centrum przemysłu komputerowego i elektronicznego Silicon Valley w Kalifornii był "nieudokumentowanym" Meksykaninem. Bez sezonowych robotników rolnych z Meksyku załamałoby się rolnictwo Południa. Podobnie z wielkimi restauracjami i hotelami na Florydzie. Problem przybrał już takie rozmiary, że nie można go było dłużej ignorować. Tak zaczęła powstawać w Kongresie nowa ustawa imigracyjna. Sprawa ciągnęła się dłużej lata skutecznie opóźniana przez narodowe lobby. Wszyscy w zasadzie byli za, z tym, że widzieli potrzebę poczynienia wyjątków. Kongresmani reprezentujący ludność latynoską domagali się specjalnego potraktowania przybyszów z Salvadoru, bo tam wojna domowa, Gwatemalczyków, bo "szwadrony Śmierci", Meksykanów, bo ci tak niezbędni dla gospodarki amerykańskiej. Polacy powoływali się na stan wojenny i zdławienie "Solidarności", Haitajczycy na krwawy reżim Duvaliera. Itd., itp. Wreszcie silna administracja Reagana przepchnęła ustawę. Cóż nowego ona wnosi? - przyznanie prawa stałego pobytu tym, którzy przybyli przed 1981 r. /pozostali, jeśli zostaną wykryci, mają być deportowani/ i nałożenie kar na pracodawców zatrudniających "nielegalnych" /dotąd kar takich nie było/. Brzmi to wszystko dosyć groźnie, ale potencjalnych "wczasowiczów" chciałbym nieco uspokoić. Rzecz jasna, sytuacji to naszym pracusiom za morzami nie poprawi, ale poradzić sobie będzie można. Może przez czas jakiś trudniej będzie z pracą, może obniżą się nieco zarobki /pracodawca więcej teraz ryzykuje, a więc musi coś tego mieć/. A potem - sędzió należy - wszystko wróci do normy, tak jak wracało już nieraz, bo ta nagonka na "nielegalnych" nie jest przecież pierwszą. Będą też i profity z tej ustawy. Wiele Polaków, którzy już dawno postanowili nie wracać, teraz zalegalizują swój pobyt, a więc zyskamy tysiące wujków stęsknionych za krewniakami z kraju.

"Imigrejszyn" czyli czego "wczasowicz" powinien wystrzegać się najbardziej. Immigration and Naturalisation Service /INS/, bo o nim mowa jest instytucją rządową powołaną do kontroli napływu cudzoziemców do Stanów Zjednoczonych i ich aklimatyzacją w nowych warunkach. Nas, jako "nielegalnych" zarobkowiczów interesują wyłącznie funkcje kontrolne. Pierwsza, podstawowa zasada wobec INS brzmi: obchodzić z daleka! Wprawdzie na lotnisku urzędnik odnotował nasze przybycie, ale nie pociąga to za sobą żadnych konsekwencji. Nikt nas nie będzie szukał. Zresztą jak? Ameryka jest dla nas, przybyszów z kraju "realnego socjalizmu", krajem dziwnym. Nie ma tu dowodów osobistych, obowiązek meldowania się. Żyć gdzie chcesz i jak chcesz, bylebyś tylko prawa nie łamał. Możlika narodów i ras wkoło ogromna, nie będziemy się więc nikomu w oczy rzucali. Nasz paszport powinniśmy już na początku głąboko schować i nikomu aż do czasu odlotu nie pokazywać. Jeśli chcemy się czymś legitymować, to możemy sobie wyrobić tańsze prawo jazdy. Kłopot to niewielki, bo nasza cudzoziemskość nie powinna być przeszkodą, zaś egzamin z przepisów ruchu drogowego możemy zdawać w języku polskim.

Gorąco też odradzam odwiedzanie biur INS w celu przedłużenia wi-

zy. Zaglądamy w ten sposób do paszczy lwa, a ustawowa możliwość deportacji przecież istnieje. Chyba że rzeczywiście zaistniały jakieś wyjątkowe okoliczności i możemy to udokumentować. Zagrożenia ze strony INS nie należy w żadnym wypadku demonizować. Czasem sprawdzą jakąś fabryczkę, czasem zareagują na donos /nieścisły zarzek się to wśród naszych zważanych rodaków/. Główną swoją uwagę kierują na kontrolę granicy południowej, dosłownie rozrywając przez meksykańską fałgę. Wiadco wymowny może być tu fakt, że podczas mojej bytności w Stanach nie deportowano ani jednego Polaka, mimo iż tzw. ambasci Reagana objęci byli tylko ci, którzy przybyli przed stanem wojennym. Jeśli zaś chodzi o policję amerykańską /jest jej kilka rodzajów/ czy urzędników federalnych, stanowych lub miejskich, to możemy być raczej spokojni. Zachowujmy się poprawnie, a i oni naszym statusem interesować się nie będą.

Czy nie zostadź Wyjechalismy żeby zarobic, no moze jeszcze trochę świata zobaczyc, ale czas leci i powoli aktywnizujemy się. Z językiem już nieźle, zarobki przyzwoite, obrabiamy w wolnych chwilach i nie wiedzic kiedy wykluwa się w nas ten bakozyl... a moze by tak zostac, sciagnac rodzinę? Autor mniejszych wspanialosci decyzyj takich raczej nie pochwala /sam przeciez urocił/, ale będcąc stokerem dewokratą uznaje prawo każdego do podejmowania własnych decyzji. Stąd też spróbuje przedstawić kilka z nich.

Zacznijmy od tego, że zdobycie green card - tzw. wieloletniej karty - czyli prawa do stałego pobytu w USA stało się ostatnimi laty dość mocno trudne. Jeśli ma się ojca, matkę, żonę, żonę - stalego mieszkańca USA /najlepiej z obywatelstwem/ - to można próbować. Niektóre rodzina się wychodzą za małż, czasem na serio, czasem fikcyjnie, za pieniądze /od 2 do 5 tys. dolarów/. Amerykanie stali się wobec ostatnio bardzo podejrzliwi, procedurę przeciągają jak tura, próbują sprawdzać trwałość takiego staćka. Na ostatni adwokat wproci staćka - takiego centa, a gwarancji powodzenia naszych starań nie mamy żadnych. O moralnej stronie zagadnienia, pozostawiamy w rękach konających, mężach, dzieciach - pamiętać też chyba warto.

O dopisywaniu sobie politycznej przeszłości i sposobach uzyskania azylu politycznego wspominałem już przy okazji tzw. uciekinierów... Zroszta szanse na to są obecnie niewielkie.

Ameryka kusi nas przede wszystkim swoim dobrobytem. Szczęśliwie, jedynie w tym, że dobrobyt - taka już jego uroda - nie jest wszystkim, jest jednakowo dostępny. Zależy za to na konkrety. Po roku możemy dorobić się taniego samochodu, po 10-15 latach domu w tej samej dzielnicy. A wszystko to pod warunkiem niwocznej pracowitości i oszczędności. No i ograbiny szczęścia oczywiście. Czy warto? - niech odpowie sobie każdy sam.

To tyle o błasach, teraz krótko o cieniach amerykańskiego żywota. Stany Zjednoczone są krajem bardzo przyjaznym dla imigrantów, ale imigrantem pozostaje się do ostatnich dni życia. Żył, pracował, nie mówię, uczył się wszystkiego: nie tylko języka, ale i kultury, obyczajów.

ju, cywilizacji technicznej, zachowań codziennych, dosłownie wszystkiego. Trzeba uczyć się żyć w społeczeństwie opartym na konkurencji, gdzie żeby iść w górę trzeba być lepszym, zwłaszcza kiedy jest się imigrantem. PRL natomiast dosyć skutecznie w nas to naturalne instynkty zdusił. Imigrant zaś, to ktoś, kto walczy. Dopiero jego dzieci nie będą miały tego kompleksu, tyle że za cenę utraty swojej polskości. O tym też warto pamiętać.

Janusz Szewczyk zdążył chyba autor z ostatniej polskiej fali, któremu pozwolił sobie się wchodzić na rynek amerykański w swojej sztuce "Człowiek na karaluchy" wystawianej w podrzędnym teatrze na Manhattanie, pisać, że obcego akcentu nie zgubi się nigdy. Ciemnotliwie zaś jest nieodłączne emigranckiej soli.

Warto o tym pamiętać, chyba że kogoś interesuje w życiu jedynie zdobywanie pieniędzy i ich wydawanie.

Wnioski. Podróże, jako się rzekło we wstępie, kształcą. Jakie więc doświadczenia przyniosł ze sobą przeciętny Polak wracający z "wyprawy po złote runo"? Wyświadczył, że z reguły doświadczenia niezbyt bogate. Słabą znajomość języka, przebywanie głównie w polskich "gettach" powodują, że nasz rodak był w Stanach, ale niewiele z nich zrozumiał. Więcej może powiedzieć o Polakach i Polonii. Ameryka Amerykanów była raczej w tle, fascynowała i przerażała zarazem.

A przede wszystkim niska każdy czasowoś przeszedł twardą szkołę życia. Doznał ogromnego osamotnienia i zobaczył, jak szansa zdobywania dużych /w Polsce/ pieniędzy zmienia ludzi. Po prostu powalczył siebie. Oczywiście litować się nad nim nie ma potrzeby, bo i tak był dzieckiem szczęścia. Materialnie osiągnął z reguły tyle, że w PRL żyćia by mu na to nie starczyło. No, a poza tym coś przecież zobaczył. Jeden mniej, drugi więcej. Zobaczył inny świat, świat obcy i szczerze wrogi, narzył więc o powrocie. Ciudak i marzył o powrocie. Nie przecież to Ameryka go zmieniła. Teraz dla odmiany idealizuje tamą rzeczywistość. Jakże często ci, którzy liźnili trochę Ameryki, wróciwszy z tła i rotli wszystko, by jeszcze raz tam pojechać.

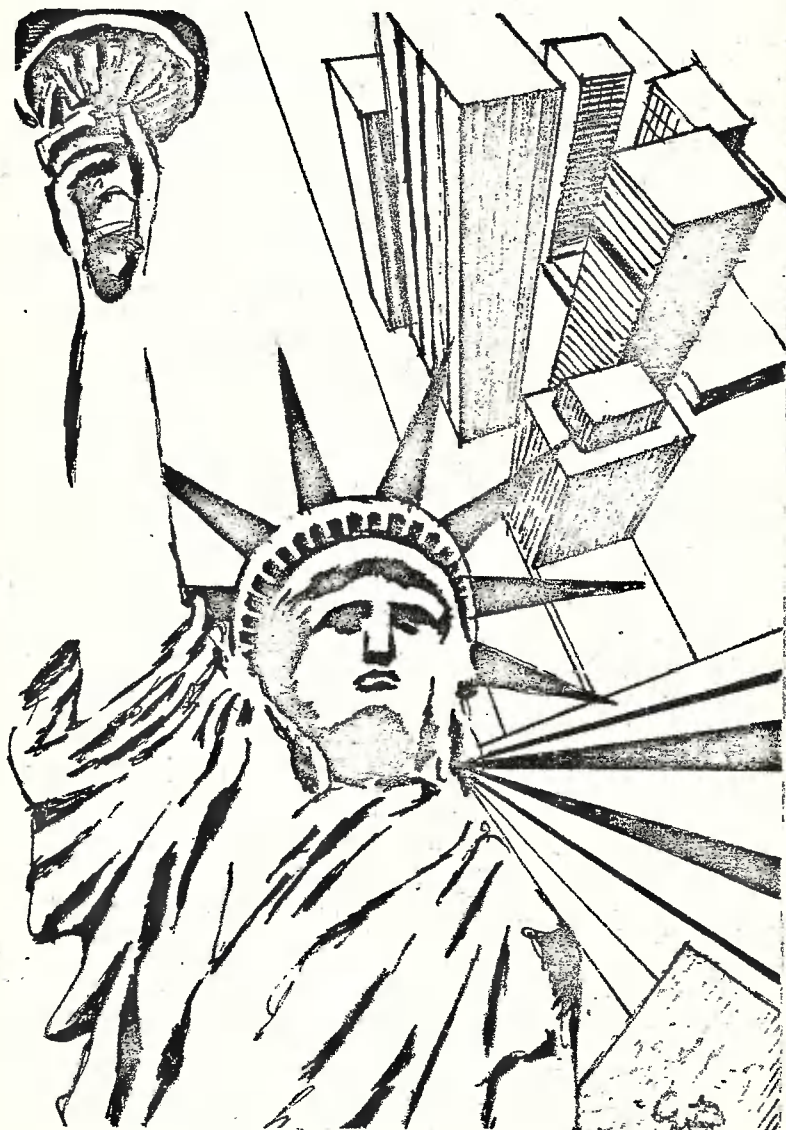
Forst cofnął barozę masowych wyjazdów zarobkowych Polaków na Zachód, przez długie lata niecenzuralny, mimo że już pojawia się w prasie od czasu do czasu. Nadal chyba pozostaje trochę wstydlivym. Czy jest więc czego się wstydzić? Nasza tzw. opinia publiczna różnie na to reaguje. Sąby tacy, którzy zastosowali kryteria inne, to należałoby raczej odpowiedzieć na kilka bardziej szczegółowych pytań: czy na swoje pieniądze użyciwiście pracowaliś, czy masz się czego wstydzić; czy poznaliś tyle, ile się dało? Jeśli odpowiedź na te pytania wypadła pozytywnie, to czy nie warto?

I ureszcie uważa strasznie serio. Wędrówka tzw. siły roboczej jest stała jak świat. Dlaczego to, co stało się normalnym i ważnym elementem gospodarki krajów takich jak Jugosławia, Turcja, Meksyk, Hiszpania, u nas musi odbywać się boczną furtką? Czy to tradycyjna polsko-szlachecka dumna, czy też tzw. moralność socjalistyczna głoszącej moralizując?

Odpowiedź przynosi życie. Jedną nąsi na "saksy" i będą jechać co-

raz liczniej. No chyba, że z kryzysu szybko wyjdziemy i Zachód prześcignemy, a skłania ku temu już tylko lektura "klasyków".

Maciej Eski



W POSZUKIWANIU NIEZMAĆONEGO PUNKTU

Broniewski - bard proletariatu, komunista,

„...zawity, pełen bólu żywy człowiek”

W liście do Kencboka - przyjaciela z czasów służby w 1 pp Legionów - datowanym 24 listopada 1922 Broniewski wyznaje:

Jestem chorągiewką na dachu - dc życia potrzeba mi wiatru. Niechże tym wiatrem będzie jakaś wielka idea, jakieś ukochanie, wariactwo wreszcie - byle nie ten spokój i pustka.

Wszystko, co zrobiłem w życiu, jeżeli zrobiłem cośkolwiek, zawdzięczam jakiemuś przypadkowi, zewnętrznym impulsom: tajne organizacje za czasów gimnazjalnych, Legiony, kilka przekreślonych ustawicznie wierszy... I nic - żadnego zadowolenia, spokoju... Potrzebuję bezwzględnie nowości i zmiany, potrzebuję, aby wciąż coś się działo, stawało - nic przeciwnego mnie nie zadowalnia. I stąd niezadowolenie z samego siebie, zamiast pracy apatia, zamiast twórczości - bezpłodność... Pustka.

/W. Broniewski, Pamiętnik
1918-1922, s. 319-320/

W kolejnym liście z 31 grudnia pisze:

Był to okres krystalizacji nowych poglądów artystycznych, politycznych i innych. Przeżywałem to dość intensywnie, niekiedy nawet z entuzjazmem - nie mogłem jednak powiedzieć, że bym całkowicie odnalazł siebie. /.../ Stykałem się z grupką literatów z "Nowej Sztuki": Stern, Wat, Braun, Brucz. /.../ Poznałem nową poezję rosyjską: Majakowskiego, Jesienina /.../. Majakowski, najważniejszy z tych wszystkich, pokazał mi nowe zupełnie światy.

Epos. Rewolucja - jej apoteoza. Kult masy. Poezja walką. Przynależność społeczna poety. Nowe formy /.../. Zbyt trudno by mi było wypisywać jakieś swoje "credo". Zmagam się jeszcze z wieloma rzeczami. /.../ Konkretyzowało się polityczne poglądy. Z dawna już oscylowałem ideowo między PPS a komunistami. Teoretycznie bliżej byłam komunizmu, praktycznie bliżej PPS. Tak jest dotychczas. Zostałem członkiem Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. Praca w Związku Strzeleckim wydaje mi się czymś fałszywym, czymś niezgodnym ze mną samym.

/tamże, s. 323-324/

Przytoczone fragmenty listów - włączone przez Broniewskiego do "Pamiętnika" /"Śmietnika umysłowego", jak go określał autor/ - stanowią świadectwo dojścia - nie pozbawionego racji - do komunizmu,

niedawno jeszcze /do 1921 r./ oficera 1 pp Leg., piłsudczyka, teraz /1922/ studenta Wydziału Filozoficznego UW.

Komunizm jest, możliwością wypełnienia "pustki", której doświadczył, a zarazem spełnienia siebie, swoich radykalizujących się /od czasów Gimnazjum Polskiego w Płocku, gdzie był wydawcą i autorem niepodległościowego pisma "Młodzi idą", organizatorem skautingu, poprzez pracę w Organizacji Młodzieży Niepodległościowej, w Strzelcu, wreszcie podczas 7-letniej służby w Legionach/ poglądów politycznych, społecznych, a zarazem spełnienia swojej bezkompromisowości, niezależności i godności. Właśnie nie raczej polityczne, w wąskim znaczeniu jako możliwość dokonywania zmiany rzeczywistości, a raczej idei, sumienie, emocje stanowią o drodze autora "Słowa o Stalinie" do komunizmu.

W nie opublikowanym /w ZSRR/ tekście "Do rosyjskiego czytelnika" Broniewski przekonuje, że jedyną "istotną zdobyczą" wojny /1920?/ stały się dla niego "książki z taborów bolszewickich, przede wszystkim Lenin." W "Pamiętniku" odnotowuje:

W spałku po bolszewikach została się mała biblioteczka, którą skrzętnie zanektowałem.

Są tam rzeczy ciekawe: Trockiego "Słowo robotnikom i krestjanom" /.../. Czytam, myślę... Podziwiam bystrość i giętkość jego myśli. - Mimo wszystko zbyt to jest dla mnie ukamionowane, ortodoksyjne, ażebym w ofierze mógł złożyć mój niepodległy indywidualizm.

/tamże, s.93/ ^x

W kolejnym zapisku "Pamiętnika" dłuższa refleksja:

Zaczynam rozumieć, jak przeciętni i mniej niż przeciętni komuniści wyobrażają sobie przyszłą równość społeczną. Ludzie ci w psychice swojej podobni są do jakichś sekciarzy czy jezuitów; częstokroć, w naiwnym swoim pojmowaniu, nie zdają sobie sprawy, jak daleko odbiegają od nauki papy Marksa et consortes. Czytam broszurę Ustinowa, fantazję /zał się, Boże/ literacką, pod tytułem "W komunie". Ideałem autora jest zrównanie wszystkich pod każdym względem; poziom intelektualny, moralny, urodzenia, umiłowienia i nienawiści muszą być jednakowe, bowiem "komuna nie lubi wyjątków".

/tamże, s.94/

O ile i w jaki sposób ta "fantazja" jednak była spełniana, a także jak trafiało było określenie psychiki komunistów en masse jako "zakonu "rowej wiary", wreszcie jak świadomie właśnie oddalano się od "papy" - siebie stanowiąc nowym "papieżem" komunizmu - doświadczył Broniewski bezpośrednio już to atakowany przez ortodoksów za nierównowagę, czy też dalekie od optymizmu, wyrażające się ze sztywnych rąk określonych przez partię wypowiedzi, wiersze i działania. Niektóre teksty poetyckie np.: Bakuzin czy "jesieninowski" w duchu "Wzjęć sobie, jestem poeta" wywołały ostrą polemikę w redakcji "Miesięcznika Lite-

x/ Tak, w napisanym w latach 50-tych tekście "Do rosyjskiego..." nazwisko Trockiego nie może się pojawić. /Przyp. aut./

rackiego", a zwłaszcza poza redakcją - w KPP, już to bezpośrednio stykając się z "aparatem" i "sektami" zarówno w Polsce między- i powojennej, jak w ZSRR. Jawi się to doświadczenie jako w istocie tragiczne. Możliwość pisania wierszy wykraczających poza "agitkę" i "instrument też" utwierdzało - jak myśli Wat, analizując to zjawisko w "Moim wieku" - "świadomość schizofreniczną" poety wiążącego się z komunizmem, z instytucjami podległymi Partii, "z dworem". Jedynie utrzymanie stanu tej schizofrenii pozwalało jeszcze być poetą. I właśnie Broniewski - zwłaszcza po powrocie do kraju w 1945 - był w stanie zachować siebie jako poetę za cenę poddania się dwójmyśleniu. O tym jakie owoce rodzi zjawisko "sekt" wiedział Broniewski aż nadto dobrze - boleśnie przyjmując śmierć bliskich współpracowników, przyjaciół: Wandurskiego, Standego, Hempla, Jasieńskiego - zniszczonych w ZSRR w wyniku "oczyszczania" szeregów, w których "nie może być wyjątków".

W myśl tej zasady - pisze dalej Broniewski - wszyscy członkowie komuny wspólnie i jednakowo pracują /przy koszeniu siana/ umilając sobie czas śpiewaniem "Międzynarodówki". Wszyscy zachwyceni są tą sielanką komunistyczną. /.../ Wszystko jest idealnie równe, idealnie głupie i obmierzke; stadowe idee twardego rosyjskiego bolszewika. /.../ I cóż na to Trocki ze swoją mową o korzystaniu ze "złobczyca ducha, sztuki i nauki"? Skoro wszyscy mają kosić siano, na cóż filozofowie!

/tamże, s.94-95/

"Na cóż poeci?" mógłby zapytać autor wiersza "Był określa świadomość", poeta komunistyczny świadomy ofiar "sielanki", więzień Centralniaka, Zamarstynowa, Zubianki i Butyrek. Oto odpowiedź:

Co mi tam opowiadać,
co było, a czego nie będzie!
Chcę rozpowiedzieć radość wszędzie.

/...../ x
"Ileż żona spyta:

"Dlaczego

nie zmęczony i taki radosny?"

Maż odpowie: "Dom robił dla swego,
dla socjalizmu, dla wiosny. /.../

/"Był określa świadomość"/

Jest ta odpowiedź świadectwem okupienia swoich radykalnych, socjalnych poglądów przystąpieniem do komunistycznej plejady. Broniewski nie mógł nie czuć swojej hańby - hańby poety, autora "Bezrobotnego".

Ale - jak zaświadcza Wat - Broniewski w okresie Bieruta nie był Broniewskim z lat współpracy z "Miesięcznikiem Literackim" i innymi x/ robotnika, który zapewne wsłuchuje się w radosny głos poety towarzyszący jego pracy /przyp. aut./

pismani związani z lewicą. Nie był poeta, który wyklócał się o swoje wiersze, nie zmieniał ich mimo silnej argumentacji organów Partii, który w sowieckich więzieniach, gdzie już nie miał złudzeń co do komunizmu, pozostając jednak wierny tradycji niepodległościowej.

Związek autora "Eagnetu na broń" z komunistami i komunizmem w latach 1945 - 1962? "Sakralitacja", rzesze czytelników, peany krytyki, złoty zegarek darowany przez Bieruta w rocznicę urodzin - hańba, schizofrenia świadomości poetyckiej okupiona obficie wódką? Twierdzenie, że Broniewski pozostał wierny linii partii dlatego, że był próżnym poetą, że chciał siebie widzieć jako barda proletariatu, że wierność i posłuszeństwo pozwalały zachować swój "cygański" sposób bycia, dawały margines wolności jest oczywiście dużym uproszczeniem - jak zresztą wiele innych sądów tu wypowiedzianych. - ponieważ nie można mówić o nim /w tym okresie właśnie/ tylko jako o komunistcie, tylko jako o poecie. Broniewski uwikłany w historię... zawiły, pełen bólu żywy człowiek.

/BEZ/

Rozmowa z Historią

Historio, żyć ci, Historio,
Zachciewa ci się psich sigłów,
z za braty podpada Orion
jak siedziwy razos na kółku.

Opowiadasz mi stare bajki
i uśmiechasz się, na wódkę kłóć się,
i tak biblijny porażka -
ty od wielów, ja od nicotów.

O Nieśmiertelna, siłujże
za skuteczność do parafostów,
i powiedz mi - czy to cudnie
całemu Światu krew powuść?

Co storo na całym świecie.
jak nie wojna, to stał wojenny,
Historio, powiedz mi przemił:
po diabła tu biblijny?

Revolucyjny poeta
na dgnić w tym laurze komedijn?
Historio, przecież to wiekakt,
kto? Z nas jest po prostu strankiem!

Nie wstydić się, siedziwa sama,
i wypuść z Zakarstynowa...
/Na kryminał zaraz za broni.
zasłużymy sobie od nowa/.

Kazimierz Wierzyński

Na śmierć Broniewskiego

Chciał rządzić się tu po swojemu,
Stawiał się sztorcem do świata:
Historia - myślał - to demon,
Ale jemu nie do demonów,
To był cygan,
Brat - Łata.

Historia - mawzył - i przyszłość,
i wolność, i sprawiedliwość:
Ale miał krew sobiepana,
Do głowy mu biała, kipiała,
A w krwi kropelkę trucizny,
Tkliwość.

Kłócił się, procesował,
Cały kram był gotów pozmieniać,
Wciąż krzyczał: "Polska - ale jaka".
Szłagoński pieniacz,
Romantyk, heros
Czy zabijaka?

Mniejsza z tym.
Od siwej czapki leguna
Wędrował po ojczystych aresztach
Aż do wybranej sowieckiej wolności,
Gdy sznurem wiodła więźniów po stepach
I kołem polarnym przeszła po kościach.

Zapik się,
Ale kto się nie zapik pod orenburski wiatr?
Fod ewangelię demonów?
Pod ciężką głowę,
Którą tam kładź?

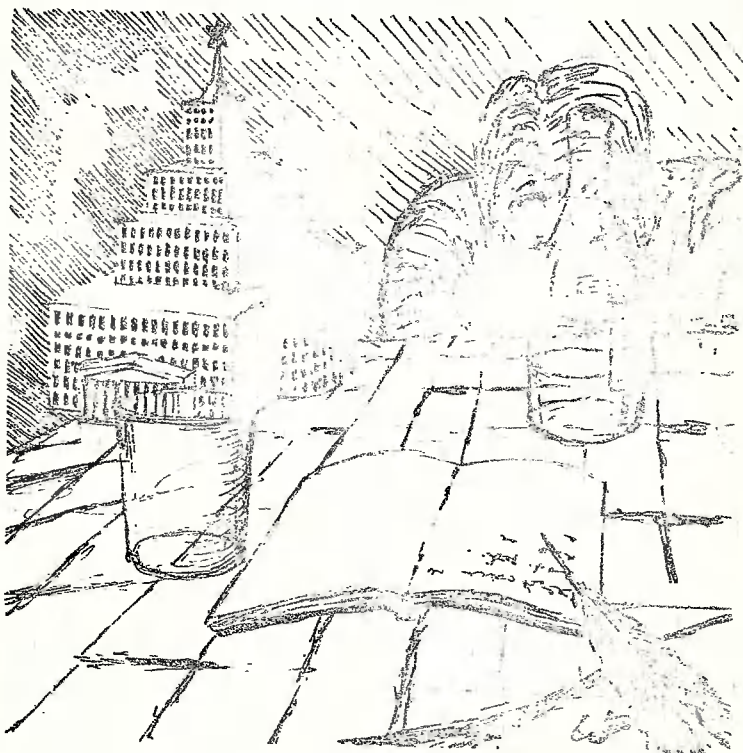
Długo wielbili go potem,
Zasypywali kwiatami i prezentami,
Zaszczytną zmorą,
Ale on - nie!
Jak pijany płotu
Trzymał się swego rebelianckiego honoru.

Zbliżaka się ciemna, ostatnia noc.
Kwiaty odesłał na grób towarzysza
Który /się/ wyżamał,
Prezenty kazał dać koledze w więzieniu:

Jeszcze raz się zbuntował,
W skołowanym sumieniu
Nie kłamał.

Ciemna, ostatnia noc,
Której nikt nie odegna:
Urząd mi eks-przyjaciół,
Zadziorny, niemiędry, wrogów,
A jednak?

Przeszedł tu wszystko,
Ex-szafawiła i Zawadiaka.
Dotarł do sedna.
Polska bez niego potoczy się dalej,
On wciąż będzie kryzysał:
Ale jaka?
I to nas pojedna.



POWTÓRKA Z HISTORII

Bazylianie z Supraśla

W roku 1498 wojewoda nowogrodzki, marszałek Wielkiego Księstwa Litewskiego Aleksander Chodkiewicz sprowadził z Ławry Fiecherskiej w Kijowie do swej rezydencji w Gródku pierwszych czerniów - zakonników obrządku greckiego. Około 1500 r. zostali oni osadzeni na uroczysku Suchy Hrud położonym na śródleśnej polanie nad rzeką Sprząsłą /Supraśla/.

Wkrótce powstały tu na wysokim brzegu rzeki dominującymi nad lasami i doliną pierwsze drewniane budynki wzniesione z fundacji A. Chodkiewicza. Na przeciwnym niskim brzegu umieszczono pustelnie braci zakonnych. Centralnym punktem klasztoru stała się wzniesiona w latach 1503-1510 murowana cerkiew p.w. Zwiastowania N.M.F. - budowla łącząca cechy bizantyjskie i gotyckie, a stanowiąca jedyny w swoim rodzaju przykład symbiozy wpływów wschodnich i zachodnich. W 1557 r. cerkiew tę przyozdobiono słynnymi freskami znanymi dziś szeroko jako freski z Supraśla.

Przemieszczenie i symbioza idei płynących ze Wschodu i Zachodu cechowały też całą działalność monasteru. Liczne nadania umożliwiły zakonnikom wzniesienie nowych, murowanych budynków klasztornych i rozwinięcie szerokiej działalności. Monaster supraski stał się więc na tych ziemiach centrum kulturalnym, którego wpływ sięgał daleko poza pobliskie dobra.

Przełojciowy spadek znaczenia klasztoru nastąpił po przyjęciu unii ogłoszonej w 1596 r. na Soborze Brzeskim. Klasztor supraski opowiedział się wtedy za obrządkiem wschodnim, toteż na początku XVII w. zakonnicy tamtejsi byli już unitami.

II poł. XVII i wiek XVIII to czasy ponownego rozkwitu monasteru. Powstaje wtedy kompleks nowych budynków klasztornych otoczony rozległymi ogrodami i stawami. Do najpiękniejszych budowli należały tam: budynek klasztorny, brama-dzwonnica i Pałac Archimandrytów wzniesiony na pocz. XVIII w. i górujący nad doliną. Wszystkie te budynki otaczały centralną cerkiew Zwiastowania.

Najbardziej chyba zasłużoną dla monasteru postacią tego okresu był archimandryta Lew Kiszka, działający w Supraślu w latach 1708-1722, prekursor prądów oświeceniowych na tych terenach.

Dążąc do podniesienia kultury ziem ruskich i do humanistycznej reformy unickiego Kościoła Greko-Katolickiego rozwinał w Supraślu prężny ośrodek przyciągający pielgrzymów i duchowieństwo. Wzmógł działalność od dawna tu istniejących - papierni i drukarni, z której wyszło szereg cennych pozycji nie tylko religijnych w języku cerkiewno-słowiańskim, lecz także historycznych w językach łacińskim i polskim. Dzięki temu klasztor był też centrum przyciągającym księgarzy i ludzi pióra.

Okres pomysłowości bazylianów skończył się wraz z II rozbiorem Polski. Klasztor wraz z okresem białostockim został wtedy włączony

do Prus, a dobra klasztorne skonfiskowano. Z ich części utworzono folwark państwowy dzierżawiony przez klasztor od władz pruskich do 1819 r., a następnie do roku 1831 dzierżawiony przez opata supraskiego, biskupa Jaworskiego. W 1795 r. umieszczono natomiast w Supraślu siedzibę nowo utworzonego biskupstwa unickiego funkcjonującą do 1807 r.

Pokój Tylżycki 1807 r. podsycał nadzieję unitów na odzyskanie dóbr, jednak ich licytacja w lutym tego roku skończyła się dla klasztoru niepomyślnie.

W 1809 r. zlikwidowano ostatecznie biskupstwo supraskie, a w roku 1837 ówczesny archimandryta Nikodem Marciukowski wyraził zgodę na przyłączenie Zgromadzenia do prawosławia. Spowodowało to gwałtowny spadek powołań i zmniejszenie się liczby zakonników. W efekcie w 1873 r. wciągnięto Supraśl na listę klasztorów przeznaczonych do likwidacji.

Od końca XVIII w. klasztor stale podupada. Mimo że jeszcze w latach 20-ych wieku XIX wznoszono tam nowe budynki, stare ulegają jednocześnie systematycznej ruinie, którą przyspieszyło oddanie części zespołu fabrykantom z powstającego obok miasta i umieszczenie w Pałacu Archimandrytów szpitala wojskowego, zajmującego ten budynek do 1833 r. Od 1833 r. zabudowania i ogrody podzielone zostały między bazylianów i Wilhelma Zaherta, ówczesnego właściciela miasta, który zamierzał urządzić tu fabrykę sukienną.

Mimo trudności i stale malejącego grona zakonników bazylianie utrzymali się w Supraślu do I wojny światowej. Udało im się nawet dokonać w latach 80-ych XIX w. remontu części zabudowań, a w roku 1889 wznieść nową, murowaną cerkiew p.w. Jana Ewangelisty. Trzej ostatni mnisi zostali wreszcie w 1920 r. przeniesieni do przytułku dla ubogich.

W okresie międzywojennym część klasztoru pozostawała własnością rodziny Zahertów, a część zajęta była przez siostry szarytki i drużyny robotnicze "junaków", zaś następnie przejęli ją księża salezjanie.

W czasie II wojny światowej monaster supraski systematycznie dewastowany był przez stacjonujące tam obce wojska. Wreszcie, w lipcu 1944 r., podczas okupacji niemieckiej wysadzono bezcenną cerkiew Zwiastowania i spalono pozostałe budynki.

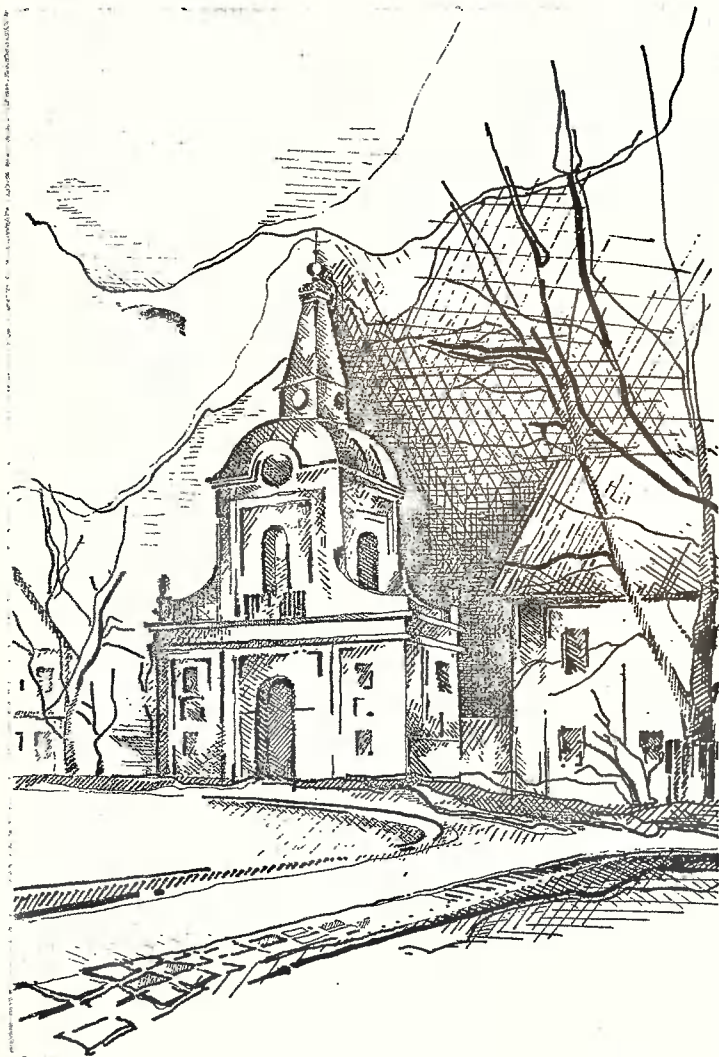
Już w 1945 r. przeprowadzono pierwsze prace konserwatorskie w cerkwi, podczas których zdjęto i zabezpieczono zachowane resztki szesnastowiecznych fresków. Odgruzowano też pozostałe budynki mieszkalne i rozpoczęto ich odbudowę, przystosowując je jednocześnie do potrzeb Państwowego Technikum Rolniczego, użytkującego obiekt od 1955 r.

Pozostałości murów cerkwi Zwiastowania N.M.P. zabezpieczono w formie trwałej ruiny. Obok zabytkowych budowli klasztornych wzniesiono kompleks nowych budynków Technikum. "Nowe" wkroczyło też na ulice miasta, które tymczasem przeistoczyło się w niewielki prowincjonalny ośrodek wypoczynkowy przeżywający okres zastoju i stagnacji kulturalnej. Przeszłość wyblakła i nie budzi dziś emocji nawet wymagająca

ostatecznego wyjaśnienia historia wysadzenia w powietrze supraskiej cerkwi. Prężne centrum życia umysłowego, ognisko symbiozy kultur - to wszystko zamierzchłe i nie pamiętane już dzieje. Historia zapomniana na tyle, że często uważana za obcą i całkowicie niepolską.

Rozciąga się nad nią długi cień Zaborów i okresu dziewiętnastowiecznego prawosławia, przez co zbyt łatwo przyznaje się do niej dzisiejszy Autokefaliczny Kościół Prawosławny. Czy przeszłość ta stanie się kiedyś inspiracją do kolejnej twórczej symbiozy - trudno dziś orzec, lecz jeżeli tak - to już zapewne w przyszłych, tzw. lepszych czasach.

PAC



Wstęp do historii świata

/fragment/

Bałem się.

Fawlik chichotał przez sen.

- Przecież trzeba go zabić - nie wytrzymał Daszkiewicz i z wściekłością walił ręką w ścianę.

- Zaraz zabijać - z właściwą sobie powagą uspokajał Juraszko, którego podejrzewaliśmy o całkowity brak potrzeby snu, jako że nikt nigdy nie widział go śpiącego.

Daszkiewicz wstał i podszedł do okna.

- Śmierdzi mi gównem - orzekł.

- Spać się chce - pewnie złośliwie skomentował Juraszko a Fawlik znów zachichotał.

Owszem śmierdziało, ale zastarzałyśmy potem i nie umytymi nogami. Innego zapachu nikt z nas już nie pamiętał. Co ciekawe, jego intensywność wzmagająca się, ilekroć otworzyliśmy okna. Zgodnie uważaliśmy, że cały świat po prostu śmierdzi.

Daszkiewicz rozważał:

- Albo ktoś się zesrał, albo ktoś sra, albo ktoś się zesra.

Fawlik oczywiście zachichotał.

- Naprawdę zabiję go - stwierdził Daszkiewicz.

- Kto się wtedy z ciebie będzie śmiał baranie - zupełnie trzeźwo powiedział Fawlik.

Zaskoczył nas. Sądziiliśmy, że jako jedyny ufnie oddał się Morfeuszowi.

Mogło być niebezpiecznie. Daszkiewicz skacząc z łóżka na łóżko podążał ku Fawlikowi.

• Wyżał z wyra.

- Jak będzie rozkaz - spokojnie odpowiedział Fawlik i zachichotał.

On naprawdę nie mógł opanować śmiechu. Nawet podczas przysięgi w najbardziej wzniosłym momencie nie wytrzymał. Oczywiście potem dostał z tego powodu nieźle w kość.

- Juraszko, nie masz ochoty na kobiety? - rzucił ktoś z końca sali, które to pytanie natychmiast zakończyło konflikt między Fawlikiem i Daszkiewiczem.

Utartym zwyczajem Juraszko godnie wstał, mocniej związał kaletny, żeby mu nie opadły. Powinien wygłosić przemowę o niłości czystej i bronić swojej koncepcji, jakoby kobieta również była człowiekiem. Głośno i ostentacyjnie zaczęliśmy ziewać.

- Dzisiaj powiem inaczej.

Nastąpiła prawdziwie nocna cisza. Nawet słyszeliśmy jakieś pojedyncze, dalekie kroki. Pewnie któryś krzywy beret włożył się korytarzami.

- Jesteście pedałami - godnie stwierdził Juraszko i wrócił do łóżka.

Dalej nie słyszałem rozmów bardzo zmęczonych ludzi. Na pewno żartowali, trochę kłócili się. Zawsze około północy kończyła się zabawa. Pawlik nie chichotał, lecz reagował płaczem, wypominaliśmy sobie takie grzechy, jakich nie mogliśmy wymarzyć, a co dopiero popełnić.

Na pewno spałem, po raz pierwszy od trzech dni, bo wyraźnie czułem, że budzę się.

- Wstawaj ofermo - trząsał mną Daszkiewicz.

Coś musiało być nie tak. Prawie wszyscy pochylali się nade mną.

- Trzeba wstawać - łagodnie podnosił mnie Juraszko.

Postawili mnie i rozsypali się po całej sali.

- Co jest? - pytałem sam siebie.

- Pospiesz się - ktoś histerycznie ponaglał.

- Zaraz będą gwizdać - tajemniczo poinformował Pawlik i zachichotał.

Wszyscy stali przy oknie i zastanawiali się, co też ma oznaczać niezwykłe ożywienie na zewnątrz. Ja tymczasem wolno wciągałem buty, spodnie i bluzę.

- Chyba już - stwierdził Daszkiewicz. - Gotowi? Ziemie odzyskane?

- Zawsze z macierzą - stuknęła obcasami Pawlik i zasłoniła dłonią usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem w nieodpowiednim momencie.

- Zagłębie śląsko-dąbrowskie?

- Nie rzucim ziemi - ktoś burknął ledwie zrozumiale.

- Region północno-wschodni?

- Nie będzie taki jeden pluć nam w twarz - dumnie odpowiedział Juraszko.

- Waleczna stolica?

- Dał nam przykład...

Daszkiewicz nie musiał nam niczego przypominać. Wskoczyliśmy do łóżek i każdy naciągnął koc pod brodę. Na zewnątrz głosy stawały się coraz wyraźniejsze i bardziej zrozumiałe. Pawlik przyjmował zakłady, kiedy przybiegna.

Nikt nie wygrał, bo nikt nie zdążył postawić. Jakichś dwóch wbiegło gwizdząc do sali, włączyli światło i zarządził alarm. Zaraz potem zniknęli.

Spokojnie zeszedliśmy na dół, dopiero na placu apelowym przyspieszyliśmy kroku. Nie było żadnej zbiórki ani apelu. Ożarowski wskazał drogę i już wiedzieliśmy, że mamy łądować się do samolotu.

Chyba od gwizdków nikt nie rzekł ani słowa. Dopiero kiedy w naszym pudle zobaczyliśmy siedzącego, tak jak i my objuczonego szmatą, sekretarza partii majora Szpaka Pawlik zachichotał.

- Przyjmuje - klasnął dwukrotnie.

- Dojrzały groszek - zgłosił Daszkiewicz.

- Za to nic nie płacę - odpowiedział.

- Kwaśna brzoskwinia - wpadłem mu w słowo.

Sekretarz partii major Szpak dopiero w tej chwili zwrócił na nas uwagę.

- Tego jeszcze nie było - huknął. - Który to z brzoskwinia?

Za kimś się schowałem, ktoś mnie popchnął.

- Przejrzały szczypior z zapachowym walorem zgniłej cebulki -

poważnie zaproponował Juraszko i sztywno usiadł naprzeciw majora.

- Jak się ode mnie nie odpiardolicie, to każę was załatwić - rzekł sekretarz partii major Szpak wymieniając twarde spojrzenia z Juraszką.

- Chodźcie tu kapral - przywołał Daszkiewicz.

Ten pochylił się nad majorem.

- Powiem wam w sekrecie, obywatelu kapralu, że to wy kantujecie w spodnie, ja nigdy. I zapamiętajcie sobie to raz na zawsze.

- To pan major też dzisiaj fruwa? - zdziwił się Daszkiewicz.

Narastający śmiech w pudle skończył rozmowę. Falecieliśmy.

Nie wiedziałem kiedy mi włożyli w szonie magazynek z ostrą amunicją. Jeśli zawsze będę się, to w tym momencie całkowicie straciłem poczucie czasu i przestrzeni.

Daszkiewicz mocno ścisnął moje ramię. Nie miał czasu. Poczucie rzeczywistości niebezpiecznie opuszczało róg świadomości.

- Wybac, doznałem ci - usłyszałem drżący głos.

Uniosłem głowę. Wszyscy siedzieli wpatrzoni w podłogę. Jednak nie było samotny w swoim strachu. Dopiero w tej chwili poczułem uścisk Daszkiewicza. Nie wiedziałem jego twarzy, ale sądziłem, że powinien uśmiechnąć się. Uśmiechnąłem się również.

Nie twierdzą, że uspokoiłem się. Jednak w pewnym momencie roku spotkałem człowieka w naszym pudle był na pewno sekretarz partii major Szpak. Co do tego nie miałem żadnych wątpliwości. Był takim samym, nie tyle przebiegszy, co bardziej pogodzony z losem. Nastąpił uścisk ramienia odczułem natychmiast. Daszkiewicz głową wskazał przed samolotem. Mrugało światło.

Okazało się, że nikt nie drzaskał. Kolejno frunęliśmy ku nieznanym ziemi. Na pewno jedynym narzeniem każdego z nas było pragnienie, by rzeczywistość pod nami była jakąś ziemią.

Nie musiałem podejmować żadnej decyzji. Ktoś wyskoczył przede mną, ktoś mnie popchnął i po wszystkim. Usłyszałem obrazy terytorijny żopot płótka nad głową. Stworzyłem oczy: wisiałem w nieprzejrzyściej zawieszynie, a płuca drżały jakiejś niewidzialny rył. Powiniennem rzygać, ale żółądek nie miał co zwracać. Targaliśmy naszą torbę. Nie wiedziałem, że kiedykolwiek wydotaną się z tej choroby.

Jakaś nadzieja były pierwsze nieokreślone dźwięki dosiężane w ciszy. Zbliżyłem się do ziemi. Opuściłem świat ciemności i gąsien z boku rozjarzyły się światła wielkiego miasta. Miasto żyło, wyraźnie słyszałem jego głos. Zaraz potem dotarł do mnie zapach ziemi.

Kiedy Juraszko znalazł mnie uwięzionego między skałkami już wspominałem o wszystkim. Chciałem tylko być ze swoimi, bo do tej nieznanym ziemi nie czułem żadnej sympatii.

Siedzieliśmy w wysokiej trawie. Był rozkaz: zupełna cisza.

Daszkiewicz wrócił z krótkiej podróży.

- Słuchajcie - powiedział szeptem, gdy go ciszno otoczyliśmy. - Wszyscy idźcie w kość.

- Idźcie na Bobuzę - zapytał Juraszko.

- Idziemy na niezgorszego skurwysyna - poinformował Daszkiewicz. Hilczący przewodnicy poprowadzili nas leśnymi ścieżkami. Droga ciągle prowadziła w dół. Musieliśmy uważać na wypryskujące spod butów kamienie. Trudno uwierzyć, że tyłu mężczyźni maszerowało, a nawet najwprawniejsze ucho nie wykłóciłoby najcichszego szmeru.

Na skraju pustej przestrzeni, w miejscu, gdzie kończył się las, przywarliśmy do niewielkich skałek. Przed nami, na tle jaśniejącego nieba, dosyć wyraźnie wysowały się długie, niskie baraki. Wzdłuż ogrodzenia wolno przechadzały się dwie postacie w jakże znajomej nam sytuacji.

Wiedzieliśmy wszystko. Musieliśmy opanować koszary.

Jeszcze nie dotarliśmy z Juraszkiem do przydzielonej nam wartowni, kiedy dwaj wartownicy przy ogrodzeniu zniknęli bez najmniejszego szmeru.

Bez namysłu natarliśmy na skurczybyka przed bramą. Trochę źle odmierzyłem i nie trafiłem go czysto, ale Juraszko solidnie poprosił. Drugi, siedzący za biurkiem w wartowni, również nie okazał się ani bardziej czujny, ani bardziej odważny. Nie wiedzieliśmy co z nim zrobić. Przestraszony stał z rozdziawioną gębą. Trzasnąłem go kolbą w żołądek. Na kilka godzin był załatwiony.

Nasi kręcili się przy barakach. Dołączyliśmy do nich. Bez słów, bez żadnych znaków wtargnęliśmy do środka.

"Wtargnęliśmy" - to niedobre określenie, my wślizgnęliśmy się bezszelestnie. Jeśli znowu jakiś stał na naszej drodze, nie miał jak tamci na jmniejszych szans.

Kiedy przesuwaliśmy się między pryzcami może któryś ze śpiących coś wyczuł, ale niczego podejrzanego nie usłyszeliśmy. Dudniło równie chrapanie kilku najbardziej gorliwych śpioczków.

Daszkiewicz włączył światło. Każdy z nas miał pod lufą kilka prycz. Ci przede mną już siedzieli i gapili się w wylot lufy mojego automatu. Może obudzili się, ale grosza bym nie postawił na ich przytomność.

- Spać - rozkazał Daszkiewicz.

Żaden ze śpioczków nawet nie drgnął.

- Spać, spać - powtarzaliśmy po kolei, coraz głośniejsze.

Nasze rozkazy nie odnosiły skutku.

- Kaprał, czy oni na pewno rozumieją po ludzku? - wątpił Pawlik, ale nie zachichotał.

- Spać - powtarzał Daszkiewicz biegnąc w tę i z powrotem dezorientowany całkowitym brakiem odzewu.

- Schlafen - wyjąkał nieśmiało Juraszko.

Dwóch leżących przed nim opadło na materace.

- Schlafen - powtórzyłem i trzech przede mną rzuciło swoje ostrzyżone łby na poduszki.

- Tu ich mamy - ucieszył się Daszkiewicz. - Hitlerjugend pierdolony.

- Schlafen - wrzasnął poirytowany.

Poskutkowało. Wszystkie pyzate gęby grzecznie ułożyły się do snu. Bardziej gorliwi przewracali się na bok i zamykali oczy. Ale

ten, nad którym stałem nie zamykał oczu. Jeśli będe musiał do niego pociągnąć? Frągnąłem, żety drwiąco uśmiechnął się, żeby patrzył z bezczelną pogardą. A on chyba nawet nie był specjalnie przestraszony, nie zauważyłem w jego spojrzeniu ani odrobiny hysterii. On chyba tylko nie rozumiał owego potężnego procesu dziejowego, który my, chociaż tak doskonale realizowaliśmy, też nie pojmowaliśmy.

- Coś czuję - poinformował Juraszko i głośno pociągnął nosem.

- Oho - wreszcie zachichotał Pawlik.

- Ciekawe który taki odważny? - Zastanawiał się Daszkiewicz.

- Zaraz odważny - obruszył się jak zwykle poważny Juraszko. - Po prostu kantuje w spodnie,

Pawlik chichotem zarezził nawet leżących. Niektórzy z nich pociągając nosami też uśmiechali się. Natomiast ten mój ani drgnął. Gdyby nie te wpatrzony we mnie oczy pomyślałbym, że nie żył.

- Kaprału - zaczepił Daszkiewicza. - Ja go nie zakatuję.

- Coś ty? - zatruzył się. - Takiego rozkazu nie było.

- Nie wierzę, żeby to tylko jeden narobił - huczał Juraszko ciągle pociągając nosem.

Wpadł łącznik i przekazał Daszkiewiczowi jakieś dyspozycje.

- Słuchaj - ten zwrócił się do mnie. - Jak po iohniemu wstawać? Wzruszyłem ramionami.

Na słowo "wstawać" również nie zareagowali. Tylko ten mój, jako jedyny, podniósł się i zbyt wolno, jak na wojskowe obyczaje wciągał spodnie i bluzę. Nie patrząc na mnie uśmiechnął się. Potem przyglądał się długim, wełnianym skarpetom. Pewnie jakaś Fraulein mu wyszykowała - pomyślałem.

Nie wiem kto spowodował gwałtowność, która wszystkich leżących podniosła z łózek. Chyba nie Juraszko, chociaż ten najgłośniejszy wykrzykiwał "raus", "verboten" i "Hande hoch".

Daszkiewicz przeklinał wciągnięty gązic między pryoze. Wszyscy tłoczyli się przy wyjściu. Jeńcy odpychali nas, a my jakby pozbawieni nagle energii ustępowaliśmy im z drogi. W końcu sami zostaliśmy w baraku.

- Nawet nie wiem, który się zesrał - Daszkiewicz był nicpocieszony.

- Sądziś, że bylibyśmy lepsi? - zapytałem.

- Nigdy nie trzymałem z zaszarcami - odpowiedział.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz nasi jeńcy dwójkami podążali na plac. Poszli nie czekając na nas. Do pełnej gali brakowało orkiestry i śpiewu na ustach.

Ze wszystkich baraków wychodziły takie same, równe szeregi. Iu ich mogło być? Może mniejsza cywilizja. Sami ustawiali się do apelu, my kilka metrów za nimi.

Gdzieś niedaleko transportowce podchodziły do lądowania. Ietnie niebo nie rozgadało się. Ale niebo tego ranka specjalnie nikogo nie interesowało.

Ie plac wjechał samochód pancerny. Wyskoczyło z niego kilku młodych, ci bardziej dostojni wysiadali dłużej.

Jednemu grubasowi przystawiono tubę do ust. Wyjął kartkę i za-

czką czytać. Gapiłem się na jeńców, ale i do mnie poprzez szum samolotów docierały pojedyncze słowa. Przysunąłem się bliżej, żeby lepiej słyszeć. Nie, to nie były niemieckie słowa. Facet coś czytał w języku, który wcale nie był podobny do niemieckiego.

Stojącemu przede mną żołnierzycykowski wsadziłem lufę między łopatki.

- Ty, jaki to kraj?

Milozak wyprężony jak struna basowa.

- Welches Land, skurczybyku?

Coś mruknął, Nie zrozumiałem. Mosnij go szturchnąłem.

- Ceskoslovensko - wykrztusił.

Lufa sama odskoczyła od pleców żołnierza. Wycofałem się. W przerwie między szeregami widziałem tego człowieka, któremu przystawiono tubę do ust. Skończył czytać, zmiętą kartkę rzucił na ziemię.

Na nas już czekały gaziki. Daszkiewicz nakazywał wsiadać.

Tamten już nic nie mógł powiedzieć, tuba zniknęła. Widziałem jak sięgnął do kieszeni, coś wyjął i to coś szybko włożył do ust. Rozległ się niezbyt głośny trzask i głowa tego człowieka rozpadła się na kilka części, a czerwona miazga ochlapała stojących przy nim dostojników.

Nie wiem, czy można było usłyszeć westchnienie w szeregach, ponieważ transportowce ciągle lądowały.

- Spisz?

Wrzucili mnie do samochodu i odjechaliśmy.

Przy wartowni pułkownik Kwantuński kopał salutującego mu majora Szpaka. Pułkownik Kwantuński, w którego żyłach, jak twierdził, płynęła krew trzech ras i siedemnastu narodów, dlatego sam siebie nazywał internacjonalistą, natomiast inni nazywali go kundlem, na pewno nie miał specjalnych pretensji do majora Szpaka. On go tylko po prostu nie lubił. A sama scena była tak trywialna, że nie wzbudziła niczyjzego zainteresowania.

Pawlik zachichotał.

- Ale daliśmy im w kość, nie?

- Nie byli specjalnie mocni - orzekł Daszkiewicz.

Adam Dolistowski

/Druk bez wiedzy i zgody autora/

„DIE ZEIT” [29.05]

O polityce wschodniej Watykanu

„Nie mówią na wiatr. Jego podróż była „aktem odwagi” obu stron, niezbędną dla zbliżenia systemów. Jan Paweł II przypisał go sobie i swym komunistycznym gospodarzom, gdy w 1979 r. po raz pierwszy odwiedził swą polską ojczyznę. Wówczas wydawał się jeszcze odurzony swym mesjanistycznym poczuciem godności wynikającym z faktu, że był pierwszym „papieżem - Słowianinem i Polakiem”. Cztery lata później, w obliczu zwiędłych nadziei „Solidarności”, które bez niego nigdy by nie rozkwitły, nie mógł pozostawić po sobie wiele więcej niż poczucie wynikające z „moralnego zwycięstwa”.

A teraz? Gdy w Zielonoświątkowy poniedziałek rozpocznie się jego trzecia wizyta w Polsce, zamierza on głosić rodakom przede wszystkim moralność i trzeźwość - w każdym sensie - a także równą drogę porozumienia, po których kościelna, zwłaszcza zaś watykańska dyplomacja wschodnia z dawien dawna ostrożnie się porusza. Sprzyja mu przy tym fakt, widzący ów „akt odwagi” czyni, jak się zdaje, mniej ryzykownym niż przed ośmiu laty: również ateści rządzący imperium radzieckim, którzy w 1979 r. bezwiednie zdrowo wystreszyli /„Słowiański paradygmat odrestawacji duchowej jedności Europy...”/ - jak wtedy wówczas, znaczący wysłęd bardziej trzeźwo. To rzecz jeszcze bardzo nierówna, gdy w świetle gorbaczewowskiej głośności rozwijają się strachy, jakie wszelkie religie zdają się widzieć w ideologii komunistycznej.

Każdy znak przyczepienia czy wręcz zwrotu jest w Watykanie piczołowicie odnotowywany. I jednym z najbardziej osobliwych była chyba odrywcza podróż, którą specjalny wysłannik moskiewskiego tygodnika LITERATURNAJA GAZETA odbył do Polski. 4 lutego, ni stąd ni zowąd napiszł on, czego może oczekiwać po przekroczeniu granicy na Dugu:

„Przyjeżdżając do kraju katolickiego. Polska jest krajem socjalistycznym, jednocześnie jednym z najbardziej katolickich na świecie”.

Znalazł tu nie tylko wiele hościelne w każdej wiosce i biblii na hotelowych ściankach nocnych, lecz także specjalnie usposobionego prymasa, Karłyusza Głępa, którego „miliony Polaków uważają za swego duchowego ojca”. Prymas udzielił dziennikarzowi z Moskwy dżugiego wywiadu i wywiad ten został wydrukowany, choć była w nim mowa nie tylko o pokoju i rozbrojeniu, lecz także o świetle chrześcijańskiego optymizmu: „Wierzymy, że światem kieruje Bóg”. Okazje do ironicznego znaku zapytania? Bynajmniej. Czytelnicy tygodnika LITERATURNAJA GAZETA dowiedzieli się, że 82% wszystkich Polaków to ludzie wierzący i mimo to „wcale nie fanatycy”. Że większość z nich nie jest też żądną konfliktu z Rosjanami. Radzieckiemu gościowi mówił o tym pałkownik Kwiatkowski z warszawskiego Ośrodka Badania Opinii Społecznej. Nawet „znaczna część” członków partii to ludzie wierzący. Radziecki korespondent osz-

przedził swym czytelnikom dokładnych danych /52/, wszak to wszystro i bez tego jest dostatecznie "niepojęte i paradoksalne" dla każdego, kto kiedyś uoył się, że religijność jest wyrazem zafocania. "A tu nawet komuniści określają się mianem wierzących! W Polsce jest to jednak rzeczywistość, z którą trzeba się liczyć. Wymaga to nowego sposobu myślenia, do którego chcielibyśmy zaprosić również innych".

Nawet dyplomaci radzieccy wysokiej rangi, utrzymujący w Rzymie kontakty z Watykanem, byli tym tekstem zaskoczeni. W tej sytuacji trzecia podróż papieża do Polski naprawdę powinna być wywoład w nich poważne obawy. Tymczasem przyglądają się temu wydarzeniu z większym niż dawniej spokojem, podobnie jak rząd polski. Ten ostatni zarówo w 1963 jak i w 1979 r. miał jeszcze obiekcje, czy może sobie pozwolić na wypuszczenie Ojca Świętego do Lublina, miasta leżącego zaledwie 70 km od granicy radzieckiej; tym razem papież wychozi w tym mieście, gdzie się znajduje jedyny w Europie wschodniej uniwersytet katolicki trzy przemówienia mogące zawierać impulsy kierowane pod adresem Wschodu.

Nie należy jednak przeceniać drobnych gestów, które jak się zdaje, zadržają zainteresowanie Moskwy Watykanem. Do tych gestów należała na przykład audjencia specjalna, której 10 marca udzielił papież /jak już raz przed dwoma laty/ artystom cyrku moskiewskiego, czy też wizyta w Watykanie znanych dziennikarzy radzieckich, z którymi w swobodnym tonie i bez dialektycznej akrobatyki rozmawiał papież na temat Tołstoja i Dostojewskiego. "Nie tak go sobie wyobrażaliśmy" - mówili później uczestnicy tego spotkania.

Kie została jak dotąd zrealizowana zapowiedziana przez ambasadora radzieckiego we Włoszech podczas rozmowy z kardynałem Casaroli w końcu kwietnia, możliwość rychłego wyjazdu dyplomaty watykańskiego do Moskwy w celu nawiązania kontaktów roboczych z radzieckim urzędem do spraw uyznań, w rodzaju tych, jakie już od dawna istnieją w stosunkach między Watykanem a odpowiednimi urzędami innych państw bloku wschodniego. Więcej wagi mają informacje o wypuszczeniu na wolność kilku bojowników o religijne prawa człowieka i księży przebywających w radzieckich obozach karnych. Ostatnio wypuszczono na wolność również polskiego księdza katolickiego z Nowosybirsk.

Czy te wszystkie pociągnięcia Goraczowa mają mu jedynie stworzyć korzystny klimat przed nadchodzącą wizytą we Włoszech? W związku z wyborami wizyta ta została przesunięta na jesień lub zimę. W wywiadzie udzielonym włoskiemu dziennikowi komunistycznemu UNITA przy okazji kampanii wyborczej szef partii radzieckiej nie chciał się wypowiedzieć w kwestii "wiosny religijnej", choć poza tym rozmowa była bardzo szczera. Choć temat ten plasuje się niewątpliwie na samym końcu jego listy problemów wymagających reformy, to jednak staje się coraz bardziej widoczny i kontrowersyjny.

"Roznace Zainteresowanie religią w Związku Radzieckim" - potwierdził Wiktor Gorodasz, dyrektor Instytutu Ateizmu radzieckiej Akademii Nauk w Moskwie. Trzeba dodać, że Gorodasz wystąpił z takim wyznaniem w rozmowie z przedstawicielami największego włoskiego magazynu katolickiego FAMIGLIA CHRISTIANA /milion egzemplarzy nakładu/

i jednocześnie dostarczył raczej bolesnego dla wierzącego marksisty uzasadnienia tego stanu rzeczy. "Revolucja naukowo-techniczna, która zobowiązuje do wyboru między materializmem a spirytualizmem, poczyniła obietnice, które nie zostały spełnione; to wywołało niezchęcenie, kazało żałować podjętego wyboru i spowodowało powrót do spirytualizmu. Wzrosła również świadomość historyczna ludzi: zamiast wymyślać sobie przyszłość, próbuje się wrócić myślami do przeszłości. ... Trudno wyobrazić sobie przyszłość bez istnienia Kościoła, który przez stulecia był wyrazem wielkiej rosyjskiej ojczyzny.."

Tego rodzaju uczucia patriotyczne w państwie wielonarodowym, jakim jest Związek Radziecki, gdzie podskórne napięcia narodowe czerpią soki z różnych korzeni religijnych, są jednak trudne do skanalizowania. W tej sytuacji, powodowane polityczną mądrością, niekiedy też nostalgicznym respektem dla staroci, władze mogą iść na rękę Kościołowi prawosławnemu, by w 1988 r. mógł on godnie obchodzić tysiąclecie chrystianizacji. Złagodzone ograniczające go ustawodawstwo religijne, podjęto prace restauratorskie w wielu świątyniach, przygotowuje się druk Biblii. W zachodnich środkach masowego przekazu ciągle jeszcze, choć niewiążąco i z przymrużeniem oka w sprawach ideologicznych, lansuje się sprawę możliwości złożenia w Moskwie wizyty papieża z okazji jubileuszu. Ale strach przed fenomenem religii, który - jak z ubolewaniem zauważył również dziennik PRAWDA - wbrew oczekiwaniom "nie zmarł śmiercią naturalną", niepokoi przede wszystkim nie tylko sfrustrowanych ideologów.

Państwowy ateizm mógłby się stopniowo stać dla polityków na Kremle obojętny. Rzecz w tym, że wiąże się z nim jednoznacznie problemy sprawowania władzy. Nie przez przypadek jedyna jak dotąd bezpośrednia wypowiedź Gorbaczowa na ten drażliwy temat znalazła się tylko w organie partyjnym stolicy Uzbekistabu, "Aszkiencie, gdzie 24 listopada 1986 r. zażądał on "nasilenia propagandy ateistycznej i zdecydowanej, nieprzejednanej walki przeciw religijnej manifestacji". Tymczasem jego kolega z Biura Politycznego, Ligaczow, już 1 października ostrzegł przed "upiększonym religijnoscizmem, burżuazyjnym nacjonalizmem" zwłaszcza reakcyjnego kleru islamskiego, ukraińskich unitów i litewskiego katolicyzmu.

Oznaczało to geograficzną lokalizację politycznie najbardziej czułych punktów. Taki papież, jakim jest papież Polak, który wypowiada kazania na całym świecie, wypowiada się za prawer człowieka, a nawet w jednej ze swych encyklik /1986/ mobilizuje Ducha Świętego przeciw "temu" marksizmowi, jest czynnikiem trudnym, ale nie tak nieobliczalnym jak na przykład muzulmański Ajaatollah. Dzieje się tak już choćby dlatego, że papież nie nawołuje do świętej wojny, lecz do pokoju i pojednania z przeciwnikiem i nawet potrafi uszczepić przed wybuchami złości swych zwyciężonych systemem, w którym żyją, Polaków. Jakie jednak będą konsekwencje jego żądań swobody religijnej dla 10 milionów katolików w bałtyckich, białoruskich i ukraińskich prowincjach Związku Radzieckiego? Kłóży to szczyki i niepokoi biurokratów, którzy co prawda nie odżawili życia Kościoła, ale utrudniają mu egzystencję środkami administracyjnymi i róż-

nego rodzaju szykanami. /Na przykład na Litwie zabraniają nawet wystawiania w kościołach choinek na Boże Narodzenie!/
Ale nie mniej zaniepokojony jest również rosyjski Kościół prawosławny. Zwłaszcza na Ukrainie widzi on w żądaniach rzymsko-katolickich zagrożenie również dla pozycji narodowej, którą stworzył mu po drugiej wojnie światowej kremlowski dyktator. W 1946 r. Stalin zmusił ukraiński Kościół katolicki, od końca XVII w. pozostający w Unii z Rzymem przy zachowaniu bizantyjskiego rytuału, do pozornego zerwania z papieżem i podporządkowania się patriarchatowi moskiewskiemu, co praktycznie wpędziło go w nielegalność. Metropolita tego Kościoła, Slipyj, który przeżył siedemnaście lat zesłania na Syberię i zmarł w 1984 r. na emigracji w Rzymie, do końca życia na próżno ubiegał się o przyznanie mu przez papieża tytułu patriarchy ukraińskiego. Jego następcą, kardynał Lubachowski, wspomagany w tej mierze przez ukraińską emigrację, ośmielił jeszcze zabiegać o uznanie go patriarchą kijowskim, choć przecięłoby to nici rozmów ekumenicznych między papieżem a rosyjskim prawosławiem i zniweczyłoby wszelkie wysiłki Watykanu na rzecz ułatwień dla katolików w Związku Radzieckim.

Obecnie jednak kością niezgody historyczno-politycznej stają się same nadchodzące uroczystości milenijne: "Czy to rzeczywiście Rosja stała się chrześcijańska w 988 r.?" - taki tytuł nosi wydrukowane w Londynie pismo polemiczne 75-letniego kardynała ukraińskiego. A oto jego odpowiedź na to retoryczne pytanie: Słowianie wschodni owej Rusi zwanej Rusią Kijowską, których nakazał wtedy ochrzcić wielki książę Władimir, byli właściwie Ukraińcami, bynajmniej nie identycznymi z późniejszymi Rosjanami moskiewskimi, na których charakter, również pod względem "rasowym" wpłynęła "znaczna przymieszka krwi mongolskiej". Dlatego patriarcha moskiewski nie ma dziś żadnego prawa do obchodzenia tego wielkiego jubileuszu - pisał Lubachowski. W maju kardynał nie zawahał się nawet za pośrednictwem opublikowanych w prasie oświadczeń ostrzec papieża przed "bardzo niestosowną" podróżą do Związku Radzieckiego: "Spotkanie Ojca Świętego z patriarchą moskiewskim doprowadziłoby do poważnego naruszenia autorytetu papieża".

Równie ostro zareagował Watykan dając do zrozumienia, że to inicjatywa kardynała była "niestosowna". Watykańska dyplomacja, stale na nowo angażuje się na rzecz odrodzenia Kościoła ukraińsko-katolickiego "w legalnych, zgodnych z konstytucją ramach państwowych". Z drugiej zaś strony papież pojął również, że znalazł się na śliskim terenie wschodnioeuropejskich nacjonalizmów, gdy w 1984 r. w Kanadzie na spotkaniu z Ukraińcami uznał kontrowersyjny jubileusz tysiąclecia za sprawę jedynie ukraińską, co metropolita Filaret odczuł jako "polski grom z jasnego nieba"...

Od tego czasu papież z troską zabiega o budowanie mostów. Pragnie zjednoczyć się ze "wszystkimi, prawosławnymi i katolikami, którzy obchodzą tysiąclecie chrztu św. Włodzimierza" - pisał w swej encyklice maryjnej z 25 marca 1987 r. i podniósł ikonę Madonny, która "jest czczona pod różnymi imionami na Ukrainie, Białorusi

i w Rosji" do godności symbolu wspólnoty. 10 kwietnia w Buenos Aires odważył się rozczarować emigrantów ukraińsko-katolickich, mówiąc - historycznie poprawnie i neutralnie politycznie - jedynie o jubileuszu "dawnej Rusi Kijowskiej" i wezwał ich do otwarcia wobec "naszych prawosławnych braci". Czy w ten sposób otworzy sobie drogę również do wizyty?

W gruncie rzeczy papieża wcale tak bardzo nie ciągnie do Moskwy, gdzie ani on, ani jego kościelni czy państwowi gospodarze nie byłiby w stanie uniknąć przykrych zadrażnień politycznych. Bardziej by mu zależało na, jak to podkreśla, "czysto religijnej" podróży na Litwę. Czekiwaliby tam nań 2 mln katolików, z tego 200 tys. pochodzenia polskiego. Dokładnie w tydzień po podróży papieża do Polski obchodzą oni jubileusz 600-lecia chrystianizacji swego kraju. Jeszcze latem ubiegłego roku wicepremier tej republiki radzieckiej odprowadził z kwitkiem jubileuszowy komitet biskupów twierdzeniem, że zaproszenie papieża, który w Rzymie przyjął panią Sacharow, "antykomunistyczną Żydówkę" w ogóle nie wchodzi w rachubę. Jednakże w końcu marca ambasada radziecka w Wiedniu przedstawiła pewnego litewskiego księdza, który miał do zakomunikowania rzecz zadziwiająca: w Wilnie utworzono "komitet przygotowań do wizyty papieża".

Zapewne nie kryje się za tym nic więcej niż przezorna próba neutralizowania fali, którą przez granicę bratniego kraju polskiego poniosła na Litwę papieskie słowa. Stało się tak już dwukrotnie w ciągu ostatnich ośmiu lat. Ale tym razem będzie się to wszystko odbywać pod znakiem ruchu, który uwidocznił się już za sztywnymi fasadami ideologiczno-politycznymi.

A jednak również w Polsce, gdzie kurs Gorbaczowa pozostawia rządowi nieco więcej luzu także w kwestiach polityki wobec Kościoła, nie brak sprzeczności. Wydaje się, że po raczej bezproblemowym uzgodnieniu sprawy wizyty papieskiej, pojawiły się tam wątpliwości na temat, jak w ogóle ma wyglądać dalsza przyszłość między Kościołem a państwem. Znow utknęły prace nad prawie już gotowym statutem prawnym Kościoła. Na krótko przed wizytą papieża dotychczasowy kierownik Urzędu d/s Wyznań, Łopatka, został zastąpiony przez Władysławą Loranca, działaczką uchodzącą za "wojującego ateistę". Kierował on dotychczas Wydziałem Ideologicznym KC, który jednocześnie został rozwiązany. Głosnost po polsku?

Lorane pospieszył z wyjaśnieniem, że wystąpił z organizacji wolnomyślicielskiej...

Dzisiejsze symptomy polskiego kryzysu wskazują raczej na jego chroniczny niż ostry charakter. Również i tym razem papież u żoła chorego swego narodu nie zdoła zdziałać żadnych cudów. Jeśli jednak potrafi przekonać naród, a także tych, którzy nim rządzą, że religijne "lekarstwo" nie tylko romantycznie odurza, lecz może również pobudzić moralnie i praktycznie, to konsekwencje tego przekonania mogłyby wyjść, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, poza granice Polski - mogłyby mianowicie natchnąć odwagę partyjnych ideologów i policjantów imperium radzieckiego, że Boga, jego popów, pastorów i papieży mogą się znacznie mniej obawiać niż swego własnego braku rozważli.

S P I S T R E Ś C I

/aw/, Zapiski bez przeznaczenia	1
Pielgrzymka pod nadzorem	4
Jacek Zamorski, Teologia wyzwolenia do zniewolenia	o
Jacek Zamorski, Ekshumacja upiora	17
Dokumenty	20
E.S., Walka czy porozumienie? /o języku propagandy/	23
/aw/, Homosos na placu przebudowy	28
bin, Stragany na peronie	31
IBD, Mój stragan	34
BACA, O szukaniu dziury w całym	36
Jan Michła, Białoruś?, Białoruś?	39
KES, Białoruś - odzyskiwanie pamięci	41
Maciej Eski, Mały poradnik amerykański, cz.3	45
W POSZUKIWANIU NIEZMĄCONEGO PUNKTU	
/BEZ/, Broniewski - bard proletariatu	51
POWTÓRKA Z HISTORII	
PAC, Bazylianie z Supraśla	57
Adam Dolistowski, Wstęp do historii świata	60
DIE ZEIT - O polityce wschodniej Watykanu	66

Numer złożono w sierpniu 1987 r.

